Nr. 273. Lwów — Środa dnia 29 Listopada. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniędzy należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
U głoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 30 „
Nekrologia . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Saturnina M. | Hryhorya Neok.
Jutro: św. Andrzeja Ap. | Platona i Rom.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 33 | Zachód „ „ 4 „ 4

Długość dnia g. 8 m. 31 | Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 28 listopada.

Zmiany gabinetów we Francyi są tak częste, że już nie robią żadnego wrażenia w Europie. Zresztą, któż za rogatkami Paryża zna tych wszystkich panów, którym kaprys parlamentarny powierza teki na parę miesięcy, lub nawet na parę tygodni? Panowie Dupuy czy Develle, Raynal czy Peytral kogoż mają zaciekawić, kiedy żaden z nich nie zdołał związać swego nazwiska z jakąś ideą, lub choćby tylko z jakimś niepowszednim zamiarem? A jednak teraźniejsza zmiana gabinetu zasługuje pod pewnym względem na uwagę. Mianowicie, m że ona być dowodem, że we Francyi pojęcie o rządzie obniżyło się do takiego stopnia, iż ministrowie uważani są za maryonetki, które można podług kaprysu zmieniać bez żadnej szkody dla spraw, nawet bez żadnego starcia w samym parlamencie, po prostu tak, jak gdyby to była zmiana rękawiczek.

Gabinet p. Dupuy był koalicyjny. Sam prezes należał do republikańskiej prawicy, paru innych ministrów do stronnictwa oportunistów, wreszcie było trzech radykałów. W ten sposób gabinet był wyrazem tak zwanej „koncentracyi republikańskiej", czyli sojuszu obozów wzajemnie się nienawidzących, ale zgodnych w jednej dążności bronienia republiki od wszelkich zamachów. Ten gabinet urósł nad miarę zasług w skutek tego, że za jego rządów rosyjscy marynarze odbywali tryumfalny pochód od Tulonu do Paryża i z powrotem. Przyjazd ich był zapowiedziany wtedy, gdy się Francya przygotowywała do ogólnych wyborów, więc oczywiście wyborcy chcieli podziękować panu Dupuy za sprowadzenie Rosyan, i wybrali większość oportunistyczno-umiarkowaną. Od tej chwili koncentracya republikańska już była zbyteczna, radykalistów wyrzucono za nawias i postanowiono złożyć gabinet jednolity, który byłby ten sam, z tym samym panem Dupuy na czele, ale bez trzech radykalnych ministrów. W przeddzień otwarcia parlamentu p. Dupuy ułożył deklaracyę rządową i na posiedzeniu gabinetu zażądał od swych kolegów, aby otwarcie wypowiedzieli swe zdanie o deklaracyi, gdyż gabinet powinien wystąpić solidarnie; jeśli zatem któryś minister nie godzi się na ów program rządowy, to może zaraz się usunąć. Wbrew oczekiwaniu pana Dupuy, trzej ministrowie radykalni nie podnieśli żadnego zarzutu przeciw deklaracyi, lubo ona była na wskroś umiarkowana, a więc bardzo niemiła dla radykałów. Był w tem ich podstęp, ale tego się nie domyślił prezes gabinetu.

Następnego dnia, a było to we wtorek, p. Dupuy odczytał w izbie swą deklaracyę, z której przytaczamy następujący urywek:

„Francya oświadczyła się podczas ostatnich wyborów za polityką praktyczną, z której powinny być usunięte wszelkie drażniące kwestye. Dlatego rząd będzie zwalczał wnioski, zmierzające do rewizyi konstytucyi, oddzielenia Kościoła od państwa, zmiany systemu wyborczego w duchu socyalistycznym, zaprowadzenia inkwizytorskiej zasady, tkwiącej w pomyśle podatków progresywnych. Rząd oświadcza się stanowczym przeciwnikiem wszystkich tych, których dążenia zagrażają własności prywatnej, wolności indywidualnej i rozumnej swobodzie pracy. Wszelkie teorye, które chcą zamiast osobistej dzielności i pomysłowości, oraz zamiast wolnej asocyacyi, postawić bezimienną tyranię polityczną, obyczajową i ekonomiczną, rząd będzie stanowczo odpierał, a z całą energią stłumi każde podniecanie do zaburzeń i wszelką w tym kierunku robotę międzynarodową".

Odkąd istnieje republika francuska, jeszcze takiego oświadczenia nie odczytano w jej parlamencie z ławy rządowej. Więc powstał hałas okrutny, jedni dawali brawa i wołali: wiwat! — inni sykali. Ale zaraz potem, gdy radykaliści zażądali niezwłocznej dyskusyi nad tą deklaracyą, a gabinet zaproponował odłożyć ją na czwartek, okazało się, że rząd rozporządza ogromną większością. Więc to było stanowcze zwycięstwo p. Dupuy.

We czwartek rozpoczęła się dyskusya i trwała dzień cały, w piątek posiedzenia nie było, a w sobotę znów się rozwinęła batalia. Przemawiali tylko socyaliści i radykałowie, najwybitniejsi między nimi stanęli do walki, w imieniu rządu ścierał się z nimi jeden tylko p. Dupuy i przez te dwa dni zdobył obfite laury, a zresztą wszyscy inni jeno się przypatrywali temu pojedynkowi, czasami tylko nagradzając oklaskami prezesa gabinetu.

Nagle, w sobotę w południe, wbiegł na trybunę radykalista Pelletan i rzekł, że na korytarzu słyszał, jakoby niektórzy ministrowie podali się do dymisyi. „Zapytuję tedy pana prezesa rządu, czy gabinet jest kompletny?"

„Przecie pan widzi — odparł Dupuy — że wszyscy ministrowie są na swych miejscach".

Radykalista Ouvre zawołał: „Ręczę słowem honoru, że minister finansów Peytral (radykalista) podał się do dymisyi".

„Ouvre mówi prawdę, — dodał radykał Millerand, — właśnie się dowiedziałem, że wszyscy trzej radykalni ministrowie podali się do dymisyi".

Arcykapłan radykalizmu Brisson poważnie wkroczył na trybunę i huknął: „To skandal! To niesłychane lekceważenie parlamentu! Gabinet jest rozbity, więc rządu właściwie nie ma, a my tu się zajmujemy jego deklaracyą, jak gdyby nie było w konstytucyi paragrafu, że gdy nie ma gabinetu, izba nie obraduje. Protestuję przeciw tej ohydnej intrydze!"

Słowa te były hasłem do nadzwyczajnej wrzawy. Socyaliści i radykałowie po prostu pastwili się nad p. Dupuy, łajali go jak karczemnicy, a on się nie mógł obronić, bo trzej radykalni ministrowie tymczasem wyśliznęli się z izby. Posiedzenie zamknięto.

Wróciwszy do domu, znalazł p. Dupuy na biurku podania o dymisyę trzech radykalnych ministrów: Peytrala, Viette'a i Terrier'a. Okazało się tedy, że oni, w zmowie z radykalistami i socyalistami, podali te dymisye tak, aby o nich Dupuy nic nie wiedział, a sądząc, że gabinet jest w komplecie, mógł bronić deklaracyi rządowej podług całej reguły parlamentarnej. Ten podstęp radykalnych ministrów dał całkiem inny obrót dyskusyi, wynikło bowiem, że oto ten rząd, który taką „obskurną" złożył deklaracyę, zaczął odrazu od lekceważenia izby. Mało kto wiedział, jak naprawdę było, więc jak to zwykle bywa w takich razach, nieprzyjaciele i zazdrośni poczęli na pana Dupuy walić góry, a przyjaciele uważali za praktyczne usunąć się od człowieka, który padał.

Dupuy zaraz zwołał na posiedzenie ministrów, którzy jeszcze pozostali — i razem z nimi podał się do dymisyi.

Takich-to sposobików używają w republice.

KORESPONDENCYE.

Berlin 21 listopada.

Znajdujemy się obecnie w przededniu nadzwyczaj ważnej ewolucyi ekonomicznej. Niedaleka przyszłość rozstrzygnie toczącą się oddawna walkę pomiędzy dwoma najgłówniejszemi gałęziami krajowego gospodarstwa, przemysłem a rolnictwem. Obie te gałęzie od całego już szeregu lat przechodzą groźne przesilenie, obie domagają się rozpaczliwie pomocy i opieki państwowej. Do niedawna rolnictwo było, jak mówią tutaj, „das gute Kind" sfer rządowych, uchodziło za najważniejszą podstawę krajowego bogactwa i potęgi. Mianowicie ks. Bismark, sam rolnik i wielki właściciel ziemski, przez cały czas swego panowania otaczał szczególną opieką rolnictwo, poświęcał na jego korzyść interesa wszystkich innych warstw producentów i ogółu konsumentów. W obecnej chwili zaczyna się odwracać karta. Coraz liczniejsze odzywają się już głosy, że Niemcy nie są już dzisiaj krajem rolniczym, lecz przeważnie przemysłowym, że przemysł, jeśli nie większej, to przynajmniej tak samo wielkiej, jak rolnictwo, domagać się ma prawo opieki. Co ważniejsze, głosy te w sferach decydujących znajdują coraz silniejszy oddźwięk. Cała polityka ekonomiczna dzisiejszego rządu niemieckiego, coraz wyraźniejsze dążenie do zerwania z panującym dawniej samowładnie skrajnym protekcyonizmem, wykazuje, że skończyły się czasy przewagi interesów rolnictwa w wewnętrznem życiu narodu. Zawarte przed dwoma laty traktaty handlowe z Austro-Węgrami, Włochami, Szwajcaryą i Belgią jedynie przemysłowi przyniosły niejaką korzyść i to kosztem rolnictwa. Twierdzić nie można, jakoby niemieckie sfery rolnicze z założonemi rękami przyglądały się tej zmianie stosunków ekonomicznych. Przeciwnie, opozycya agrarczyków pod względem swej ruchliwości i jaskrawości przewyższa wszystko, czego dotychczas byliśmy tu świadkami na tem polu. Przywódzcy stronnictwa agrarnego, szczycący się swemi przekonaniami zachowawczemi i monarchicznemi, nie wahają się w ten sam sposób, co przedstawiciele społecznego i ekonomicznego przewrotu, napadać na reprezentantów rządu i stawiać im ciężkie, a niczem nieuzasadnione zarzuty. Ta opozycya jednak rolników już z tej prostej przyczyny nie doprowadzi do celu, że nie jest w możności zapobiedz dokonywującej się coraz wyraźniej zmianie stosunków ekonomiczno-społecznych, przekształceniu się Niemiec z państwa rolniczego w kraj przeważnie przemysłowy. Żadna polityka w świecie nie jest w stanie zadowolnić wszystkich warstw producentów. Zadanie więc rozumnej polityki ekonomicznej polega na możliwem uwzględnieniu najważniejszych gałęzi produkcyi krajowej, a najważniejszą gałęzią nie jest już dzisiaj w Niemczech rolnictwo, lecz przemysł. To przekonanie utwierdza się też coraz bardziej w szerokich warstwach ludności niemieckiej, które w agitacyi agrarnej, skierowanej przeciwko polityce rządu, upatrują wyłącznie obronę egoistycznych interesów wielkich właścicieli ziemskich, domagających się od państwa korzyści dla siebie kosztem ogółu.

Większem niebezpieczeństwem niż walka z agrarczykami zagrażają hr. Capriviemu nowe projekty podatkowe. Większość parlamentu uchwaliła, co prawda, przed kilku miesiącami reformę wojskową; rzeczą jest jednak wątpliwą, czy znajdzie się w dzisiejszym parlamencie większość skłonna do uchwalenia środków potrzebnych do wprowadzenia w życie tej reformy. W toku obrad nad reformą wojskową oświadczył hr. Caprivi, że nowe wydatki na armię nie obciążą uboższych warstw ludności. Kanclerz zapomniał widocznie tej obietnicy. Rząd bowiem występuje z całym szeregiem podatków pośrednich, obciążających właśnie w stosunkowo daleko wyższym stopniu ludność uboższą. Swoją drogą po przeprowadzeniu tak znacznego podwyższenia podatku dochodowego w pojedyńczych państwach Rzeszy, trudno było myśleć o nowem czerpaniu z tego źródła, bo takie czerpanie równałoby się niemal częściowej konfiskacie majątków prywatnych. Ostatecznie jednak los rządowych projektów podatkowych zależeć będzie od postawy, jaką zajmie wobec nich decydujące w parlamencie stronnictwo centrum. O ile sądzić można z głosów prasy i występów publicznych przywódców stronnictwa katolickiego, w stronnictwie tem zapanował od niejakiego czasu prąd przychylniejszy rządowi. Naturalnie, że centrum wyzyska należycie tak korzystne dla siebie położenie, nie udzieli swej pomocy rządowi za darmo, lecz domagać się będzie odpowiedniego równoważnika na innem polu. Chodzi tylko o to, czy hr. Caprivi będzie chciał lub mógł się zgodzić na ten równoważnik.

Prawdopodobnie już za kilka dni będziemy świadkami ożywionych rozpraw „żydowskich" w parlamencie. Stronnictwo zachowawcze złożyło już ze swej strony wniosek, domagający się zakazu osiedlania się żydów zagranicznych w Niemczech. Być może, że większość parlamentu oświadczy się za tym wnioskiem. W gruncie rzeczy i żydzi tutejsi, upatrujący słusznie w napływających coraz liczniej z zagranicy swych współwyznawcach niewygodnych współzawodników, z radością, naturalnie zręcznie tajoną, powitaliby tego rodzaju zakaz. Mimo to wniosek zachowawców nie będzie uwieńczony praktycznym skutkiem już z tej prostej przyczyny, że zawarte w nim ograniczenie sprzeciwia się zobowiązaniom międzynarodowym. Zresztą żydzi pragnący się osiedlić w Niemczech, potrzebowaliby tylko pozornie zmienić swe wyznanie, aby uniknąć skutków zakazu. Swoją drogą nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wniosek ten wywoła namiętną dyskusyę pomiędzy przyjaciółmi a przeciwnikami żydów. W obecnej chwili nie ma bowiem tak drażliwej kwestyi, jak kwestya żydowska. Najlżejsza, najbardziej nawet usprawiedliwiona krytyka wyprowadza z równowagi nerwowych naszych współbraci mojżeszowego wyznania, pobudza ich do mało parlamentarnych wybryków, które, rozumie się samo przez się, wywołują ze strony deputowanych antisemickich, nie odznaczających się także zbyt łagodnem usposobieniem, odpowiednią reakcyę.

Obecny sezon teatralny, odznaczający się wyjątkową obfitością wszelkiego rodzaju nowości, i z tego względu zasługuje na uwagę, że stanowi zupełny pogrom panoszącego się jeszcze w roku zeszłym t. zw. realizmu, czy naturalizmu. Butelka z wódką i śmietnik, będące niezbędnemi rekwizytami pewnej części tutejszych dramaturgów, zniknęły obecnie ze sceny. Smak uległ nagłej zmianie, a rzeczywistość, po której spodziewano się zbawienia dla tutejszej sceny, traktowana jest jako rzecz poboczna. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, autorowie dramatyczni odbywają na wyścigi podróże w krainę marzeń. Nie interesuje ich już to, co ludzie działają przy zdrowych zmysłach, i świetle odpowiedzialności, lecz zmrok uczucia, przejście ze snu do złudzenia, marzenie, odkrywające nam głębiny życia duchowego. W utworze Widmanna, odegranym przed kilkoma dniami w „Berliner Theater", bohater, berliński profesor szkoły sztuk pięknych, uważa się we śnie za demonicznego bohatera z okresu renesansu i żyje „po za granicami dobrego i złego." W „Schauspielhauzie" obdarza Hauptmann biedną, katowaną „Joasię" przed śmiercią uroczym snem o nadziemskiej szczęśliwości. Obecnie zjawia się w „teatrze Lessinga" Paweł Lindau i przedstawia nam objawy półsennego stanu duszy, który od niedawnego czasu zwrócił na siebie uwagę lekarzy. Ta potrójna reakcya przeciwko wybrykom naturalizmu nastąpiła w Berlinie w przeciągu jednego tygodnia.

Sprężyną dramatycznej akcyi w najnowszym utworze Lindau'a p. t. „Der Andere" jest nadzwyczaj ciekawy wypadek zaniku samowiedzy u jednostki, wyposażonej w wysokim stopniu umysłowemi i moralnemi zaletami. Bohaterem sztuki jest prokurator Halters, który w stanie bezwiednym zwiedza lokale, uczęszczane przez szumowiny społeczeństwa i pospołu z napotkanymi tam towarzyszami odbywa wyprawy złodziejskie. Treść do swego utworu zaczerpnął Lindau z dziejów francuskiego adwokata i b. ministra, Allarda, który w r. 1888 zadał sobie śmierć, przekonawszy się, że w stanie półsennym popełniał rozmaite gorszące wybryki. Rolę bohatera sztuki odegrał z niepospolitym talentem monachijski aktor, Mitterwurzer, bawiący jako gość w teatrze Lessinga. Kardynalna wada tego zkądinąd dość ciekawego utworu polega na tem, że mamy do czynienia z chorobą, nie z człowiekiem, że sztuka jest od początku do końca uscenizowanem studyum lekarskiem, interesującem niewątpliwie lekarzy, lecz nie zadawalniającem publiczności, domagającej się słusznie dokładniejszego ucieleśnienia postaci bohatera. Opera królewska przygotowuje jako najbliższą nowość „Medyceuszów" Leoncavalla. „Hannele" Gerharda Hauptmanna, odegrana wczoraj po raz piąty w królewskim „Schauspielhausie", cieszy się w dalszym ciągu niezwykłem powodzeniem.

„Residenz-Theater", uprawiający wyłącznie prawie lekki repertuar francuski, wystawił krotochwilę Delavigne'a i Bosse'go p. t. „Dragoni". Bezmyślna ta, lecz dowcipna farsa zapełnia codziennie po brzegi salę teatralną.

Poruszana od tak dawna myśl urządzenia w Berlinie domu podrzutków zbliża się wreszcie ku urzeczywistnieniu. Fundusze na ten cel zebrano już dawno; dotychczas jednak opierały się urządzeniu tej instytucyi sfery decydujące, powodując się rzekomo moralnemi pobudkami. Obecnie jednak zaniechano tego oporu. Podług opracowanego już planu, dom podrzutków w Berlinie służyć będzie do chwilowego tylko przyjmowania dzieci, które umieszczane będą na stałe w domach prywatnych w Berlinie i okolicy.

Wielka wojna w roku 189.?

Z rosyjsko-francuskiego teatru wojny.

Vouziers, o północy 12 maja.

Zasłona spadła na pierwszy akt wielkiego narodowego dramatu. Pierwszy strategiczny problemat już rozwiązany, mogę więc wam podać szczegóły.

Wszystkie wojska armii metzkiej (trzeciej) pod osłoną operacyi, które opisałem w telegramie moim z 5 b. m. ściągnięto w pobliżu Luxemburga i Diedenhofenu. Pięć korpusów pierwszej armii, wyszedłszy z Namuru i z północnych powiatów, zebrały się tuż przy granicy, na północ od Mezières i Sedanu, a cztery korpusy drugiej armii ustawiły się między pierwszą armią a trzecią. Dalsze trzy korpusy maszerują za nami. Obroty te wykonano 9 b. m. a 10go znajdowało się czoło wszystkich trzech armii już za granicą.

Dwa korpusy francuskie, przeznaczone do obrony Maasy, zaskoczone zostały przez naszą trzecią armię i musiały się cofnąć poniósłszy znaczne straty. Armia druga nie natrafiła wcale na opór i kawalerya jej dotarła do Buzancy. Kawalerya pierwszej armii idąca na przedzie stoczyła zwycięską walkę z jazdą francuską na wyżynie między Maasą a Aisn'ą. Nieprzyjaciel cofnął się w kierunku Laonu. Korpus nasz idący na czele, przeszedł Maasę między Mezières a Sedanem i udał się potem w górę rzeki do Monzon.

Był to marsz bardzo forsowny, jednakże dzień był chłodny, to też żołnierze zrobili lekko pięć do sześciu mil.

Nie widziałem żadnej dzisiejszej potyczki, gdyż nie mogłem przebić się przez rozstawiony kordon kawaleryi, wszelako dowiaduję się, że nasza kawalerya znów odniosła sukces z tych samych powodów, co w bitwie pod Saint Amaud-Bry.

Bitwa pod Vaux Champagne.

Dricourt 14 maja.

Wczoraj późno wieczorem dopędziłem naszą dywizyę kawaleryi w pobliżu Tourteron, wioski położonej siedm mil na północ od rzeki Aisne, i dowiedziałem się, że prawdopodobnie jutro przyjdzie do ostrego starcia, gdyż pikiety nasze widziały wielkie masy wojsk francuskich w dolinie rzeki Aisne koło Vouziers. Z pobliskiego wzgórza mogliśmy widzieć łunę ich ogni obozowych, a prócz tego z południa dochodził nas szum pociągów kolejowych, jadących jeden za drugim na linii Rheims-Montheis.

---

13)

Indye Wschodnie.

Szkice z podróży w roku 1891.

Przez *Romana Ujejskiego.*

(Ciąg dalszy).

Wjechaliśmy przy słońca zachodzie w prowincyę bengalską. Nieprzerwanie odtąd szedł pociąg jakby ogrodami, wśród których przezierały ciągle ludne wioski lub pojedyncze bambusowe szałasy mieszkańców. Ognie przy chatkach i świętojańskie muszki rozświecały nam ciągle ten tunel palmowy. Boy zbierał i pakował rzeczy roztasowane po całym wagonie, ja patrzyłem na palmy, marzyłem o świerkach, i tak już po północy przybyłem do Kalkuty.

Z dworca, bardzo odległego od miasta, wiozła mnie drynda przeszło godzinę do pierwszego hotelu stolicy. Na trzy piętra stał gmach olbrzymi przy głównej ulicy. Otworzono wejście i prowadzony przez Hindusa przechodziłem szerokie i długie kurytarze, dążąc do przeznaczonego numeru. Przyćmionym gazem słabo oświetlone przejścia dziwny przedstawiały widok: pod drzwiami numerów siedziały długimi szeregami czarne postacie, gubiły się w mroku dalszych kondygnacyi i jak żywe wahadła ciągnęły miarowem tempem sznury pankardów. Zapasowe siły spały tymczasem na porozścielanych po podłodze matach. Trzeba było je wymijać a często przeskakiwać. Na kurytarzach brak powietrza, gorąco, parno, niemile podziałało na mnie. Byłem mniemania, chociaż nieuzasadnionego, że po trudach i długiej pielgrzymce wypocznę choć tutaj. Zdawało mi się, że szalone upały są udziałem tylko małych zakątków i wnętrza kraju, że tu w tej metropolii najdalszego Wschodu słońce łaskawsze, albo przemyślniejsi Anglicy. I słusznie zauważył ktoś, w kraju, słysząc te moje narzekania: że potężni i mądrzy Anglicy powinni sztucznie chłodzić temperaturę w domach, ażeby przynajmniej w nocy spocząć w nich można. Mnie to wtedy na myśl nie przyszło, ale dążąc do Kalkuty ufałem w jej wielkość, znaczenie i w miły a tak mi potrzebny wypoczynek. Silniejszym jednak jest Pan Bóg od pana Rymszy, a słońce od Anglików. W pokoju pootwierałem okna, dwaj Hindusi siedzieli już pod drzwiami, miarowym ruchem chodził punkhas — i tak przeszła noc pierwsza.

Rano kąpiel, śniadanie i dalej do miasta. Obok hotelu jest biuro światowego Cooka, gdzie załatwiłem czekowe interesa moje, gdyż zapas gotówki zmniejszył się bardzo w przeprawie przez Indye. Manipulacya pieniężna zbyt wygodną nie jest. Banknoty Bombaju nie kursują we wschodnich prowincyach, tutejszych znów nie chcą przyjmować w zachodnich; a na Cejlonie nie przyjmują ani jednych ani drugich. Złotych funtów szterlingów często po bazarach obawiają się brać z obawy falsyfikatów. Jedynie srebrne rupie kursują wszędzie, ale znów w podróży trudno przy sobie nosić kilowe zapasy. Posługiwać się trzeba zawsze czekami na banki lub na biura Cooka, co znów niezawsze jest dogodnem.

Na poczcie spotkał mnie zawód srogi. Z bijącem sercem biegłem do biura, czarny urzędnik wertował długo po półkach — listów nie było. Do Kalkuty dążyłem gorączkowo, spodziewając się zastać tem wieści z kraju, a jednak spieszyłem się napróżno. O, błogi odkrywco elektryki! Jakże ja cię błogosławiłem tutaj! W sanockie góry poszła depesza, a nazajutrz wiedziałem, że wszyscy moi są zdrowi, i to mnie odrodziło na nowo.

Bez planu puściłem się ulicą główną dla ogólnego przeglądu miasta. Ulica ta jednak miała coś dwanaście kilometrów długości, więc widząc jej nieskończoność i czując coraz bardziej palące słońce, nawróciłem do domu. Teraz spotykałem już często współplemieńców moich, lecz zawsze prawie niesionych w palankinach. Palankin, jest to rodzaj łóżka krytego ścianami i dachem; wzdłuż niego przytwierdzony jest długi drąg, który dwóch lub czterech Hindusów dźwiga na ramionach. Siedzieć wewnątrz nie można, koniecznie trzeba leżeć. Wypoczywanie to nęciło mię dosyć, lecz na żaden sposób nie mogłem wymiarkować jak przez mały otwór można się dostać do wnętrza. Zatrzymać palankin i nie umieć wleść do niego, wydawało mi się niezmytą plamą na „białej" skórze mojej. Cóż byliby pomyśleli Hindusi? Jaką opinię miałby o mnie boy mój? Wprawdzie „il n'y a pas d'heros pour son valet de chambre", lecz ja nie chciałem się zdemaskować przed nikim. Czatowałem raz chwilę przy stacyi palankinów, czy kto nie wlezie do środka, abym mógł go podpatrzeć, ale znów obecnością swoją niepokoiłem chciwych zarobku Hindusów. Co chwila podstawiali mi tę budę, już już zaryzykować chciałem i wsadzić do środka głowę, gdy przyszło mi na myśl, czy nie trzeba właśnie w przeciwny sposób właził, i uciekłem. Zrezygnowawszy z tej żądzy, powiedziałem sobie, że jest niegodnem człowieka, aby w upał szalony, kiedy chodzić samemu jest bardzo męczącem, dawać się ludziom nosić. Tą filozofią jednak niebardzo byłbym się przysłużył Hindusom, bo z czegoby żyli biedni tragarze? Zresztą oni tak chętnie niosą, tak prędko, tak zgrabnie wymijają przechodniów po trotuarach, że zdają się czynić to bez zmęczenia, i to spostrzeżenie o mało mnie znów nie zachwiało.

Gorąco się wzmogło tak silnie, tak raptownie, jakby kto pod Kalkutę ogień podłożył, lub kilka słońc naraz zapalił. Zapędziwszy się daleko od domu, uczułem się nagle osłabionym, byłbym lazł choćby na czworakach do palankinu, lecz właśnie jakby naumyślnie próżnego nie było. Co przemknie który — zajęty; nawet czarnymi. „Mądry Polak po szkodzie", pomyślałem i wlokłem się dalej, obliczając tylko siły czy dojdę. Rano wyszedłszy z domu, widziałem uwijające się często dryndy; teraz, kiedy tak potrzebowałem ratunku, wolnej i jednej nie było. Niczem Aden, niczem Rajputana i Dżejpur! Tutaj już był nie piec piekarski, lecz — ogień. W tramwaju do którego już wsiąść chciałem choć zapełniony był czarnymi, padł koń jakby piorunem rażony. W kilku fiakrach zajętych białymi, zginęło w moich oczach pięć koni. Dowlokłem się do hotelu o 11-tej ledwie żywy. Punkhas, lód na głowę i napitek z lodem, orzeźwiły mię nieco.

Przy lunchu w sali jadalnej pomiędzy biesiadnikami odnalazłem Włocha, do którego miałem list polecający. O niczem nie mówiono, jak tylko o tym zabijającym upale. Na ulicach padali ludzie jak muchy. Dwóch mieszkańców naszego hotelu przyniesiono w południe na rękach: jeden śmiertelnie chory, był bez ratunku i umarł; drugi przyszedł po czasie do zdrowia. Jakiś przestrach i popłoch przeszedł po wszystkich.

Do wieczora z nowym towarzyszem siedziałem w pokoju pod ciągłym ruchem punkhasu; przez okno patrząc, widzieliśmy puste zupełnie ulice i miasto jakby wymarłe. W pokoju było 40° R., na ulicy na słońcu 50°. Dzień przedtem jeszcze znośniej było, tego raptownego pogorszenia nie umiano sobie wytłamaczyć. Najstarsi ludzie nie pamiętali tego; *tous comme chez nous.* Dzienniki wieczorne podały: że od godziny 10½ do 4 po południu padło w mieście 140 koni na udar słoneczny. Oto się doczekałem miłego spoczynku! Wpadłem jak z deszczu pod rynnę.

Po obiedzie, po słońca zachodzie, przeszedł upał prędko, jak pożar przez wieś naszą. Zostały jeszcze zgliszcza palące: kamienie ulic i trotuary — lecz je setkami beczek zlewano wodą. Wyroiła się ludność czarna i biała, wzięliśmy powóz i dalej turysto do pracy.

Na szczęście moje nie ciężką była ta praca w Kalkucie. Narzekać jednak nie powinienem na żadną miejscowość. Specyalnie nie zagłębiałem się w niczem; lecz Dżejpur, Delhi, Agra, zmęczyły mię trochę murów ruiną. Kalkuta tego nie ma zupełnie; wygląda jak miasto nowe. Część europejska zwykła, a nawet nie ładna; tak zwane „Cantonement" bardziej rozległe niż w innych miastach, ciągnie się na równej przestrzeni bez końca; domy tam często niby świątynie greckie z kolumnadą, lub imitują włoskie wille. Część indyjska złożona z parterowych nie wiedzieć z czego lepionych domków, brudna i bardzo nędzna, a roi się w Kalkucie około miliona Hindusów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O godzinie 3 rano przyszły rozkazy z głównej kwatery a o 4½ byliśmy już w marszu. Jest to szybkość prawie bajeczna, jeżeli się zważy, przez ile rąk rozkazy przechodzić musiały. Przyłączyłem się do sztabu naszego jenerała, na co on chętnie się zgodził.

Zadaniem naszem było widocznie opanować wzgórza po drugiej stronie Aisny, aby zasłaniać przeprawę naszej piechoty przez tę rzekę.

W drodze otrzymaliśmy sztafetę, że silny oddział francuski, co najmniej jeden korpus, posuwa się śpiesznie w tym samym kierunku. Wszystko więc zależało od tego, kto pierwszy opanuje łańcuch wzgórz, ciągnących się z Vaux Champagne i to w takiej sile, aby się na nich utrzymać. Że kawalerya nasza dotrze tam na czas, nie ulegało wątpliwości, zwiady nasze bowiem były już daleko za Vaux, ale pytanie wielkie było, w jaki sposób utrzymamy tę pozycyę.

Jechaliśmy krótkim galopem i o godzinie 7½ stanęliśmy u stóp wzgórza, które przypominało mi żywo ostatnie manewry francuskie koło Lesmont. Wtedy to piechota i artylerya urządziły wyścig do podobnego wzgórza i zetknęły się na nim równocześnie. Artylerya musiała się cofnąć.

Warto opisać bliżej naszą pozycyę. Łańcuch wzgórz miał formę litery *T*, my znajdowaliśmy się na jego głównej linji. Równolegle do niej w odległości 2500 do 3000 yardów ciągnęło się drugie pasmo wzgórz, a między nimi rozściełały się na wschód i na zachód dwie doliny, wznoszące się lekko przy punkcie krzyżowania się. Gdybyśmy byli przyszli tylko o dziesięć minut za późno, wówczas piechota nieprzyjacielska byłaby się już ukryła przed naszemi bateryami w wklęsłym terenie, a los nasz byłby tylko kwestyą kilka minut.

Mieliśmy na miejscu tylko trzy baterye, gdzież była reszta? Ponieważ nie było mi wolno zbliżać się do jenerała, przeto nie mogłem z bliska studyować jego twarzy, zauważyłem tylko, że był bardzo spokojny i w zamyśleniu palił swą fajeczkę. Na północ unosiła się mgła nad rzeką, głęboki spokój panował w całej dolinie, a minuty wydały się nam godzinami. Nareszcie dosłyszało ucho moje tak dobrze mi znany szum jadących armat, a równocześnie wynurzyły się z mgły hełmy i głowy naszych artylerzystów. Teraz zrozumiałem, że jenerał nasz, ufając raportom naszej kawaleryi, chciał spróbować tego samego manewru, który Francuzom zupełnie się nie udał. Gdyby artylerya nasza w porę wjechała na wzgórza, żadna piechota na świecie nie mogłaby dać jej rady. Tymczasem nieprzyjaciel znajdował się już w niebezpiecznej bliskości nas, jak o tem wnosić mogliśmy ze strzałów padających od czasu do czasu na południu, zresztą na horyzoncie pokazały się już nasze patrole kawaleryjskie, cofające się przed nimi.

Nasze działa wjechały właśnie na szczyt, i ustawiły się tak, że Francuzi widzieć ich nie mogli. Każdy otrzymał rozkaz ukrycia się.

Trwało to jakich dziesięć minut, poczem dano rozkaz nabijać i posuwać się na czworakach naprzód. Ja także zaraczkowałem aż na front i spostrzegłem na przeciwległych stokach gór czoło całej francuskiej dywizyi, rozsypane w tyraliery. Lepszego celu wymarzyć sobie nie mogliśmy. W tej chwili co najmniej czternaście naszych bateryi rzuciło powódź pocisków na te bezbronne masy i byliśmy świadkami takiej rzezi, o jakiej w rocznikach wojennych z wyjątkiem chyba bitwy pod Eylau, mowy nie ma.

Nasze działa skierowane były na czoło linii nieprzyjacielskiej, oddalone od nas może o 1200 yardów. Wprawdzie tu i ówdzie rzucali się Francuzi na ziemię i leżąc próbowali odpowiadać na nasz ogień, ale po kilku chwilach otoczył ich dym pękających wśród nich szrapneli i nie pozwalał im wziąć nas dobrze na cel. Wszystkie kule francuskie leciały za wysoko. Następne linie francuskie tłoczyły się tymczasem na czoło tak, że cel nasz był coraz gęstszy. Teraz przeszli kanonierzy nasi od szrapneli do granatów, których skutek zabójczy widzieliśmy w postaci wyrzucanych w powietrze trupów i części ciał ludzkich. Okropny to był widok, a wrażenie jego potęgowały rozdzierające okrzyki rannych. Zgrozą przejęty odwróciłem oczy i spostrzegłem kawaleryę naszą pędzącą kłusem, aby zebrać owoce posiewu artyleryi. Szła ona kolumnami pułkowemi i poruszała się prostopadle ku przedłużonej linii nieprzyjacielskiej. Na jedną sekundę straciłem ją z oczu, gdyż pobiegłem w poprzek pagórka, a gdy ją znów dostrzegłem, była ona już uszykowaną w linię i ukośnie sadziła na nieprzyjaciela. Sześć linii pędziło jedna za drugą, aby wszelki opór stratować. Obie pierwsze linie powiększyły odstęp między swymi szwadronami, szeregi swe rozsunęły na pół długości konia jeździec od jeźdźca. W odległości 500 yardów od nieprzyjaciela zagrzmiał sygnał: „Do ataku! marsz! marsz!“ i jazda nasza wśród głośnych okrzyków „Hurra“ popędziła na szeregi nieprzyjacielskie. Francuskie oddziały wysunięte naprzód, próbowały wprawdzie stawić opór naszemu atakowi, ale nadaremnie. Ostatnia salwa szrapneli z naszych narożnych bateryi rozerwała je, a w chwilę potem zwaliła się na nie nasza kawalerya. Wprawdzie zdawało mi się, że nasza pierwsza linia chwieje się pod morderczym ogniem Francuzów, ale już wpadła za nią w szeregi nieprzyjacielskie druga linia, oddalona o 300 yardów, potem trzecia i czwarta — i teraz dopiero zrozumiałem, dla czego kawalerya niemiecka ma lance. Pierwsza linia zachowała swe tempo niezmienione aż do końca, zebrała się i tą samą krwawą drogą wracała w wir walki. Piąta linia, dotychczas, wolna zwróciła się przeciw francuskiemu frontowi, a szósta z wysokości wzgórza puściła się na nieprzyjacielskie flanki. Nie sposób opisać zamięszania, które teraz nastało. Francuzi strzelali jak waryaci na wszystkie strony, a równocześnie rzucili się do ucieczki na szczyt pagórka, zmuszając przez to do milczenia swe własne baterye, które w kilka minut po naszych wstąpiły w akcyę i broniły się dzielnie. Teraz właśnie rzucili się nasi ułani z lancami na nie i zakłuli większą część kanonierów, zajętych obsługą dział.

O godzinie 8ej rano padł pierwszy strzał, o 8½ przypuściła nasza kawalerya szarżę, a o 9ej cała dywizya francuskiej piechoty była zniszczona. Mimo to jednak nie mogliśmy napawać się zbytnio tym tryumfem, ani też myśleć o utrzymaniu zdobytego terenu, gdyż Francuzi mieli pod ręką znaczne posiłki i z tamtej strony wzgórz dochodził nas ogień działowy, widzieliśmy także jak nasza kawalerya w nieporządku wracała.

Cobyśmy dali teraz, gdybyśmy mieli jedną brygadę bersaglierów albo strzelców francuskich? Widziałem ich przeszłej jesieni, jak w ciągu 45 minut przebyli drogę dziewięciokilometrową. Gdybyśmy ich mieli teraz!

Ponieważ nasze przednie kompanie były jeszcze dosyć oddalone, przeto wyszukałem sobie na lewej stronie pagórka punkt, z którego mogłem obserwować dokładnie co się na dole dzieje.

Niespełna o pół mili, w kierunku południowo-wschodnim, spostrzegłem francuską brygadę piechoty z sześciu bateryami posuwającą się naprzód. Działa francuskie rozpoczęły ogień w tej samej chwili, w której pruskie baterye brały swe działa na przodkary. Zresztą ostrzelali się Francuzi pierwsi i tak zaprzątnęli całą uwagę Niemców, że piechota francuska tym razem, nie poniósłszy szkód, mogła zejść po tym samym stoku, na którym na drugim flanku tak straszne straty poniosła. Wobec konfiguracyi terenu oczywistą rzeczą było, że obie piechoty w odległości 200 yardów rozpoczną ogień pośpieszny, a zwycięzcą będzie ten, kto potrafi prędzej strzelać. Oba wojska zbliżały się szybko ku sobie, Prusacy wciąż jeszcze kolumnami z kompanii, Francuzi w gęstej linii tyralierów. Naraz rozwinęli się Prusacy w linię, dobosze zagrzmieli i cała masa krokiem pośpiesznym, jakby na placu ćwiczeń, ruszyła naprzód. Prawie równocześnie rzuciła się cała linia francuska na ziemię. Prusacy zatrzymali się na chwilę. W tej samej chwili podskoczyli Francuzi w górę, bo prawdopodobnie leżąc, nie mogli widzieć nieprzyjaciela, Prusacy wzięli ich na cel i za chwilę śmierć miała spore żniwa w szeregach francuskich. Ale i Prusaków padło wielu, do tego cierpieli oni skutkiem tego, że francuskie posiłki były bliżej od pruskich i mogły szybciej wypełniać luki w linii bojowej, jakkolwiek ogień ich nie był tak celny jak pruski. Pięć minut wrzała już walka, trzask strzałów karabinowych ogłuszał formalnie, wtem usłyszałem znów bębny i druga linia pruska z oficerami na czele rzuciła się do ataku. Francuzi oparli się jednak i temu, rezerwy ich kolumnami przybiegły, połączyły się w linię bojową i wszystko teraz rzuciło się na nieprzyjaciela. Ale nie przyszło do walki na bagnety.

Obie strony stanęły w odległości 150 kroków, magazynówki znów zagrzmiały. Francuskie szeregi ucierpiały znacznie więcej, pruskie kule przebijały często po ośmiu do dziesięciu ludzi. Nagle zaczęli się Francuzi chwiać, szeregi ich rozluźniały się i z wzmagającą się szybkością poczęły pędzić po stoku pagórka. W tej chwili wypadły nasze dwa szwadrony jazdy i przez szeregi uciekających torowały sobie drogę z jednego flanku na drugi.

Nie zrządziły one prawdopodobnie nieprzyjacielowi wielkich szkód, ale rozdzieliły jego piechotę. Wtem wjechało kilka francuskich bateryi na pobliski wzgórek i zmusiło Prusaków do cofnięcia się.

Walka artyleryi rozpoczęła się na nowo, ale nie trwała długo, gdyż Francuzi widocznie sami chcieli przerwać bitwę. Gdy resztki ich piechoty były już w bezpiecznem miejscu ustał ogień działowy a armaty ich cofnęły się.

Niemcy nie mogli bezzwłocznie rozpocząć pościgu, bo musieli czekać, aż reszta ich korpusu przyłączy się do nich i aż kawalerya na nowo się zbierze.

Około godziny 11½ spostrzegliśmy na wschód od wzgórzy spadających z Vouziers ku rzece Aisne błyskawice długiego szeregu dział, a w dolinie ciemne masy wojsk.

Około godziny 4 wyruszyliśmy i rozłożyli biwaki w miejscowości zwanej Dricourt, skąd piszę to sprawozdanie. Dowiedziałem się tu, że nasze zwiady zobaczyły dziś rano cały korpus francuski, maszerujący ku naszemu flankowi, prawdopodobnie jednak, dowiedziawszy się o rezultacie bitwy pod Vaux, zwrócił się w kierunku południowym i znajduje się przed naszym frontem.

Drugi korpus francuski poniósł klęskę pod Vouziers. A zatem jutro będziemy mieli przeciw sobie jeden świeży korpus i niedobitki dwóch innych.

Usposobienie w wojsku naszem jest dosyć poważne. Po raz pierwszy patrzyli żołnierze śmierci w oczy i widzieli straszną rzeź, zrządzoną naszymi nowymi granatami.

Mądrze zrobił nasz dowódzca, urządzając dziś wieczorem koncert wszystkich kapeli. Nigdy jeszcze nie odniosłem takiego wrażenia, jak dziś słysząc wszystkich żołnierzy śpiewających hymn narodowy na zakończenie capstrzyku.

KRONIKA.

Lwów 28 listopada

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, przybywszy onegdaj rano do Krakowa, był na egzorcie i nabożeństwie młodzieży gimnazyalnej w kościele św. Anny. Następnie w towarzystwie p. delegata Laskowskiego zwiedził schronisko fundacyi ks. Lubomirskiego, oraz aresztą policyjne. W południe udzielał audyencyi. Na śniadaniu był u pp. Laskowskich, na obiad zaś pojechał do księstwa Dominików Radziwiłłów do Balic. Wczoraj zwiedzał p. Namiestnik krakowskie szkoły średnie.

JE. p. minister oświaty Madeyski przybędzie do Krakowa we środę dnia 29 bm. O godzinie pół do 11 odbędzie się w auli uroczysty akt pożegnania z Uniwersytetem, którego p. minister był w zeszłym roku szkolnym i obecnie ponownie, aż do swej nominacyi, rektorem. W uroczystości tej wezmą udział profesorowie w togach i uczniowie. Następnie pożegna się p. minister z profesorami wydziału prawa i administracyi, którego był członkiem. O godzinie pół do pierwszej rozpoczną się posłuchania władz i osób, które o to prosić będą; posłuchania odbędą się w *Collegium novum* w kancelaryi rektorskiej.

O godzinie 5 po południu odbędzie się obiad w sali Towarzystwa wzajemn. ubezpieczeń, urządzony na cześć p. ministra przez Uniwersytet i Akademię Umiejętności.

Hr. St. Badenich dotknął straszny cios. Jak już wiedzą nasi czytelnicy z wczorajszej korespondencyi z Radziechowa umarła im jedyna córka, ośmioletnie dziewczątko. Zwykle w takich razach wypowiada się życzenie, żeby ogólne współczucie przyniosło ulgę w bólu. Kto jednak ma dzieci, ten wie o tem, że współczucie całej kuli ziemskiej nie przynosi i przynieść nie może żadnej ulgi w tym najcięższym z bolów.

Godność podkomorzego otrzymał p. Paweł Cyrus z Sobolewa Sobolewski, porucznik w 11 pułku artyleryi.

Wybór uzupełniający dwóch członków Rady powiatowej w Nadwórnej, z grupy większych posiadłości, rozpisało Namiestnictwo na dzień 4-go stycznia r. p.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. archidyecezya lwowska: Zarządzcą dekanatu bobreckiego mianowany ks. Hipolit Sztohryn ze Strzałek; kanoniczną instytucyę na Ostaszowce, w powiecie złoczowskim, otrzymał ksiądz Grzegorz Aliśkiewicz. — Gr. katol. dyecezya stanisławowska: Prawo odprawiania dwóch mszy św. otrzymał ks. Teofil Koblański, gr. kat. paroch w Hawryłówce i zarządzca parafii w Winogradzie; kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Piotr Ilewicz na Grółek w dek. zaleszczyckim i Konstanty Mudrak na Chryplin w dek. stanisławowskim.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Kałuszu rozpisała z terminem do końca grudnia roku bież. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — W żeńskiem seminaryum nauczycielskiem we Lwowie opróżnioną jest posada gr. katol. katechety z roczną płacą 1000 złr. i dodatkami. Podania do 25 grudnia rb. — Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie ogłasza z terminem do 6go grudnia konkurs na posady ekspedyentów w urzędach pocztowych: w C e, w pow. krakowskim i w Skwarzawie, w pow. złoczowskim.

Owacya ministrowi. Z Wiednia piszą:

W sobotę o godzinie 10-tej przed południem przyjmował minister wyznań i oświaty Dr. Madeyski duchownych członków koła poselskiego polskiego, którzy udali się do niego aby mu złożyć życzenia swoje, a zarazem polecić jego opiece sprawy Kościoła i wychowania naszej młodzieży. W imieniu ich przemawiał najstarszy wiekiem X. Ruczka, podkomorzy J. Św. i kanonik hon. tarnowski, długoletni członek parlamentu. P. minister był tak wzruszony tym aktem zaufania i życzliwości ze strony duchowieństwa, że od łez mówić nie mógł i oświadczył, że ze wszystkich oznak życzliwości, jakie go w tych dniach spotkały, ta najwięcej za serce go chwyciła. Zastrzegł też sobie, że przy danej sposobności zaprosi przedstawicieli naszego duchowieństwa w parlamencie na dłuższą rozmowę. Objaw ten zaufania ze strony duchownych członków Koła mógł p. ministrowi być o tyle milszy, o ile w ostatnich czasach różne głosy gazeciarskie o wrogie usposobienie dla Kościoła go niesłusznie posądzały. Ci, którzy nowego ministra wyznań i oświaty bliżej znają, patrzą z całą ufnością w przyszłość i przekonani są o tem, że katolicy na nim się nie zawiodą.

Dom Matejki. Rada m. Tarnowa uchwaliła jednogłośnie wstawić do budżetu na rok 1894 kwotę 200 złr. na zakup o domu Jana Matejki. Na ten sam cel złożyli: ks. infułat Stanisław Walczyński, prepozyt katedry tarnowskiej 15 złr., p. Stan. Homolacs 50 złr.

P. Władysław Pytlasiński, znany atleta, produkować się będzie we czwartek dnia 30go b. m. w sali Towarzystwa „Frohsinn“ w hotelu Żorża. Produkcye będą bardzo ciekawe, gdyż między innemi będą także zapasy hamburskiego atlety Niemanna, który wyzwał p. Pytlasińskiego i naumyślnie przybył do Lwowa, aby z nim sił swych spróbować. P. Pytlasiński przyjął wyzwanie i jest pewnym zwycięstwa. Równocześnie z p. Pytlasińskim dadzą we czwartek w sali „Frohsinn“ przedstawienie illuzyonistki siostry Fay.

Śluby. W kościele św. Barbary w Krakowie odbył się dnia 25 bm. ślub panny Heleny Droeninżanki z p. drem Janem Bobrem, lekarzem w Chodorowie. — W sobotę w kaplicy na Zamku w Krakowie pobłogosławiony został związek małżeński panny Wandy Pawlicówny, córki kierownika gimnazyum w Podgórzu, z p. Dymitrem Czechowskim, profesorem gimnazyalnym w Przemyślu. — W sobotę odbyły się w Lipniku zaślubiny panny Zofii Wierzchowskiej z p. Julianem Starzyńskim, właścicielem dóbr. — W sobotę pobłogosławił w Nowym Sączu ks. Adamczyk związek małżeński panny Janiny Kossakówny, córki radzcy sądu kraj., bratanicy artysty-malarza Juliusza Kossaka, z p. Janem Pełeńskim, auskultantem sądowym.

Kasyno miejskie. W sobotę dnia 2go grudnia r. b. odbędzie się koncert muzyki wojskowej z tombolą.

Wieczorek. Staraniem Towarzystwa prawniczego odbędzie się w Kasynie miejskiem we czwartek dnia 7 grudnia muzyczno-wokalny koncert.

Z wystawy. Na wniosek inspektora przemysłowego p. Nawratila postanowiono urządzić w roku przyszłym wystawę przyrządów ochronnych dla robotników.

Równocześnie ze zjazdem naszych pedagogów, który naznaczono na r. p., odbędzie się zjazd pedagogów słowiańskich we Lwowie.

Zamach na Capriviego W niedzielę otrzymał kanclerz Caprivi list nadany w Orleanie; w liście nadawca, wrzekomo zapalony pomolog, w sposób bardzo grzeczny donosi Capriviemu, że znając jego zamiłowanie w ogrodnictwie, posyła mu w osobnej paczce nasienie jakiejś nadzwyczajnej rzodkiewki. Paczkę tę doręczono równocześnie z listem. Adjutant kanclerza major Ebmayer wziął się bardzo ostrożnie do otwierania tej paczki i gdy scyzorykiem podniósł cokolwiek jej wieko, wysypało się kilka ziarnek prochu strzelniczego. Bezzwłocznie oddano całą paczkę do policyi, która skonstatowała, że pudełko to zawierało w sobie maszynę piekielną. W razie szybkiego oderwania przykrywki musiała nastąpić eksplozya. Tego samego dnia otrzymał Caprivi drugą paczkę, nadesłaną z Bordeaux. W paczce tej znajdował się dynamit tudzież przyrząd zegarowy.

Z Sokoła W dniu 3 grudnia b. r. święci Sokół lwowski 9 rocznicę wprowadzenia się do własnego gmachu. W tym celu urządza wieczorek gimnastyczno-wokalny, przeznaczając czysty dochód z tego wieczorku na budowę drugiej sali gimnastycznej. Spodziewać się należy, iż publiczność, zawsze wiele okazująca sympatyi naszemu Sokołowi, mając na oku rozszerzenie ciasnego już dzisiaj gmachu Sokoła, pospieszy, aby na tym wieczorku przekonać się o rozwoju, postępie i skuteczności tak potrzebnych każdemu dzisiaj ćwiczeń fizycznych.

O latawcu. Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo! Z powodu odczytu prof. Wellnera w towarzystwie technicznem wiedeńskiem, przyniosły dzienniki wiadomość o nowym wynalazku maszyny powietrznej, którą nazwałbym latawcem, gdyż bez pomocy balonu jedynie ruchem kołowym skrzydeł, wznieść się ma nad ziemię.

Jak rozwiązanie jednego z najważniejszych problemów w świecie wynalazków ludzkich musi niezmiernie zajmować i cieszyć każdego myślącego człowieka, tak specyalnie mnie wiadomość ta o tyle przykro dotknęła, że teoretycznie rozwiązałem przed niemieckim technikiem, i to zdaje się w podobny sposób zadanie, ale na wykonanie modelu brakło funduszów, a przy zawodowych zajęciach i czasu.

Z wynalazku mego zwierzyłem się swego czasu bratu memu w Krakowie Leonardowi Lepszemu, który jako technik zachęcał mnie gorąco do jego wykonania, gdyż uznał odrazu i doniosłość i trafność wynalazku.

Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak upraszać Szanowną Redakcyę o łaskawe pomieszczenie w swych łamach tego listu. Następnie zaś zamierzam przedłożyć gronu fachowców rysunki mego projektu, by chociaż tym sposobem, gdy pomysł rozwiązania problemu, nad którym pracuje umysł ludzki lat tysiące, przysądzi może ludzkość jednostce innej narodowości, pozostało w każdym razie świadectwo, że i polski umysł rzucił niezależnie choć równocześnie świeżą myśl co do sposobu opanowania przez człowieka przestworów powietrznych. Pełen szacunku *Edward Lepszy*, artysta malarz.

24 marca 1894 upływa sto lat od przysięgi złożonej na rynku krakowskim przez Tadeusza Kościuszkę. Towarzystwo imienia tego bohatera proponuje następujący program uroczystości na ten dzień. D. 24 marca jako w setną rocznicę złoży prezes Tow. im. Kościuszki na kamieniu pamiątkowym wieniec, oraz otwartą zostanie wystawa pamiątek po Kościuszce w Sukiennicach. W oktawę, 30 marca, rozpocznie się uroczystość właściwa. Rano nabożeństwo w kościele OO. Kapucynów, w kaplicy loretańskiej, gdzie odbyło się przed 100 laty poświęcenie szabli Kościuszki, wieczorem zaś obchód w sali strzeleckiej. Nazajutrz o godzinie 8. rano pobudka, delegacye całego kraju wyruszą na Wawel, gdzie się odbędzie nabożeństwo i kazanie, poczem na grobie naczelnika złożony zostanie wieniec od narodu. Z Wawelu ruszy pochód na Rynek, gdzie deputacye złożą na kamieniu pamiątkowym wieńce. Proponowane są dwie mowy, prezesa Tow. im. Kościuszki i włościańska. Popołudniu zwiedzenie kopca Kościuszki, wieczorem zaś illuminacya miasta. Na dzień trzeci gremialne zwiedzenie wystawy kościuszkowskiej, wieczorem przedstawienie w teatrze „Kościuszki pod Racławicami“.

Nabożeństwo za Matejkę w Sofii P. Gabryel Zajkow, ukończony słuchacz szkoły leśnej we Lwowie, donosi nam ze stolicy Bułgaryi co następuje:

„Śmierć Matejki, która w smutku pogrążyła cały naród polski, odbiła się żałobnem echem i pośród nas Bułgarów. Wiadomość o niej nadeszła tu bardzo późno, bo dopiero w niedzielę 5 bm. Polacy tutejsi zamówili zaraz na poniedziałek plakaty żałobne w dwóch językach, polskim i bułgarskim, i tego samego dnia po południu rozlepiono je we wszystkich częściach naszej stolicy. Oprócz tego w *Swobodzie* na samem czele ministerstwo oświaty zaprosiło wszystkich malarzy bułgarskich na nabożeństwo za spokój duszy Matejki.

„Odbyło się ono we wtorek 7 bm. o dziesiątej rano. Jeszcze przed oznaczoną godziną mały kościółek katolicki był przepełniony publicznością polską, bułgarską i czeską. Przybył prezes ministrów Stambułow i był obecnym od samego początku aż do końca. Oprócz niego byli: „gradonaczalnik“ m. Sofii, Szyszmanow, szef sekcyjny w ministerstwie oświaty i dużo wybitnych osób. Pan Ajdukiewicz, który tu bawi, wymalował w jednym dniu portret Matejki. Ustawiono go przed trumną okrytą kirem. Podczas nabożeństwa grała muzyka gwardyi ks. Ferdynanda, a wszyscy Polacy odśpiewali „Z dymem pożarów“ i inne pieśni. Do nich przyłączyło się i nas kilku Bułgarów znających te pieśni ze Lwowa. Będziemy długo pamiętali nabożeństwo za waszego Matejkę.“

Od siebie do tych słów p. Gabryela Zajkowa dodamy jeszcze, że nabożeństwo to urządzone zostało przez istniejące w Sofii od lat kilkunastu „Polskie Towarzystwo bratniej pomocy“, które godnością i taktem pozyskało dla nas tyle sympatyi wśród ludności bułgarskiej.

Z miejskiej Kasy chorych. Z powodu śmierci byłego inkasenta śp. Jana Gaździńskiego który dnia 13 bm. samobójstwem zakończył życie, krążą krzywdzące pogłoski, iż samobójca popełnił defraudacyę na szkodę Kasy chorych miasta Lwowa. Wskutek

---

14)

OZENIONY.

Przez

CARMEN SYLVĘ.

(Ciąg dalszy).

Odźwierny spojrzał na mnie szczególnym wzrokiem i zapytał, czy chcę wejść do pracowni. Naturalnie; natychmiest! Wchodzę drżący. Wszędzie cisza i pustka; na sztalugach wielki mój portret, uderzająco podobny. Odwróciłem się. Odźwierny spoglądał na mnie i na portret.

— Gdzie artystka?

— A więc pan nie wie? Cztery tygodnie temu cały Paryż o niej mówił. Ułożyliśmy ją tutaj w trumnie. Była piękna, jak anioł; tłumy ludzi przychodziły ją oglądać. Wszystkie jej obrazy zostały sprzedane, oprócz tego. Pracowała nad nim do ostatniego dnia. Anielo, Anielo! przynieś octu. Panu zrobiło się słabo.

Przez długi czas nic nie widziałem i nie słyszałem; zdawało mi się, żem umarł. Gdyby mi byli pozwolili umrzeć!

18 czerwca.

Dzisiaj miałem odwagę tam powrócić. Wynająłem pracownię i szukam najdrobniejszych śladów jej pobytu. Spróbowałem kazać sobie opowiedzieć jej śmierć; ale nie mogę, nie mam siły słuchać. Nie pozostawiła ani jednego napisanego słowa, nic, tylko ten portret, który się ciągle na mnie patrzy; wyczerpała ostatnie siły, by stworzyć ten dowód swej bezmiernej miłości.

20 czerwca.

Gdy powróciłem dzisiaj, portretu nie było. Odźwierny mi powiedział, że kupiła go jakaś nieznajoma dama. Wieczorem, wszedłszy do naszego salonu, zastałem go. Spojrzałem na Norę; zarumieniła się pomimo swej bladości.

— W jaki sposób go odkryłaś?

— Śledząc ciebie.

— A więc wiesz kto go malował?

— Wiem i wiedziałam także, że umarła.

— Wiedziałaś?

— Było w dziennikach. Nie schowałam ich przed tobą; mogłeś je czytać tak dobrze jak ja. Myślałam nawet, żeś czytał, lecz że, rzecz naturalna zresztą, nie chciałeś mi o tem mówić.

— I chcesz zachować ten portret?

— Tak, jest bardzo podobny.

Spostrzegłem w jej oczach ten sam błysk, który w nich migotał owego wieczora w Komo. Nienawiść jej sięga po za grób; sądzi, że ten portret będzie dla mnie źródłem męki. To jej zemsta.

Etretat 4 lipca.

Wysłano mnie nad brzeg morza dla wzmocnienia i dla tego jeszcze, że, zdaniem lekarzy, pobyt ten może być zbawiennym dla Nory.

Jesteśmy więc w Normandyi. Morze rozbija się o skały urwiste, pieni się, szumi i huczy. Leżę na skale tak zgnębiony, że nie mam już siły chcieć zeskoczyć. To zresztą niepotrzebne; noszę śmierć w sercu; trzeba mi tylko czekać na nią cierpliwie. Nie mam już nawet prawa się zabić, porzucić nikczemnie życia, w którem powinienem odpokutować i szukać przebaczenia.

— Byłeś jak święty, Jannino...

Słyszę ciągle te wyrazy w szumie fali, w powiewie wiatru, w mojem własnem sercu.

Jak mogłem pozwolić jej umierać samej? Dla czego jestem dzisiaj obarczony wyrzutami? Byłem wolny i szczęśliwy: byłem poetą i sądziłem, o Boże! iż życie zagaśnie prędzej we mnie niż pieśni.

Stałem się przyczyną nieszczęścia mojej żony; dla tego nienawidzę jej; porzuciłem moją ukochaną, odtrąciłem ją; zabiłem moje dziecko. Gdyby furye przestały mnie ścigać, oddychałbym może swobodniej. Ale gonią mnie, porywają za nogi i powalają o ziemię, rozbrojonego, niezdolnego do powstania, uciekania, zamknięcia uszów na ich krzyki. Nora zemściła się okrutnie, pozwalając mi wrócić do Paryża, skoro wiedziała, co mnie tam czekało.

Co się w niej działo, co myślała, gdy zobaczyła, że wyszedłem szukać Lavinii? Nie okazała najmniejszego wzruszenia. A gdy po długich godzinach powróciłem chory, wyczerpany, nie pytała o nic. Dobry z niej chirurg; ręka jej nie drży, krająć żywe ciało. I ona mówi, że mnie kocha! Może! Może to i miłość! Jest w swojem prawie. Broniła mnie do ostatka i jej nieugięta ręka wskazuje mi drogę ruchem, który mówi: to obowiązek.

Prosiłem ją, żeby mnie często pozostawiała samego. Siaduje nad morzem i czyta uczone dzieła, gdy ja błąkam się z memi myślami, albo częściej uciekam przed niemi, a one mnie ścigają.

Etretat 26 lipca.

Jest tutaj kółko zajmujące, złożone prawie wyłącznie z artystów, którzy przybyli do tego cichego zakątka dla wypoczynku. Nora zgromadziła ich szybko dokoła siebie. Nad morzem i przy *table d'hote* jest ogniskiem rozmów, wszyscy podziwiają jej męską inteligencyę. Ja najczęściej milczę, ale słuchanie jest samo w sobie dla mnie uspokojeniem i rozrywką. Zdaje mi się wówczas niekiedy, że należę do nich w rzeczywistości, przypominam sobie, że i ja niegdyś tworzyć umiałem.

7 sierpnia.

Nie wiem kto im powiedział, że śpiewam. Zmusili mnie, bym zasiadł do fortepianu, który sprowadzili potajemnie z Paryża Wczoraj cały wieczór śpiewałem im moje kompozycye. Następnie spędziłem noc, leżąc nad morzem w uniesieniu rozpaczy. Fale zbliżały się i odpływały z łkaniem, z jękami, mówiąc mi swym poważnym językiem o cierpieniach i zbrodniach tego świata, o wiecznej śmierci. Nad ranem zasnąłem. Morze zbudziło mnie, zwilżając mi nogi. Dla czego nie uniosło mnie śpiącego, zamiast mnie budzić bez litości do nowego dnia męczarni i walki?

3 września.

Przysłowie wschodnie mówi; „Jeżeli masz wielkie zmartwienie, złóż je na wodach; wody je uniosą!“

Ale bezmierne morze nie zdołałoby ulżyć mojemu cierpieniu i zdjąć z moich ramion gniotącego ciężaru mojego położenia. Nora mnie złamała i wie o tem; jak wszystkie natury silne, myśli: Lepiej złamać życie, niż pozwolić zgubić duszę.

Powracam ciągle myślą do owej godziny przeżytej w Badenie. Sądziłem, że Lavinia będzie tryumfowała, widząc, iż niezdolny jestem jej się oprzeć, a ona tymczasem pozwala się lżyć przeze mnie, odchodzi spokojnie i umiera. Nora wiedziała, że ona nie żyje! Zaczynam na prawdę bać się mojej żony, gdy pomyślę o okrucieństwie, o pragnieniu zemsty, jakie okazała. Teraz jest ciągle w dobrym humorze, dziękuje mi za najmniejszą atencyę i nie tyranizuje mnie pod żadnym względem. Unika zręcznie samotności ze mną; nie pyta nigdy: „Zkąd wracasz? dla czego wyszedłeś?“— nawet, gdy spędzam noc nad morzem. Musi przecież wiedzieć o tem, ona, która wie wszystko. Niekiedy zdaje mi się, żem zwarjował; słyszę bowiem różne głosy unoszące się z głębi morza; ciało Lavinii kołysze się na falach, ale nigdy nie przypłynie do mnie.

Paryż 20 grudnia.

Nora żyje wystawami artystycznemi i prelekcyami; gromadzi dokoła siebie wybitnych uczonych i stwarza sobie życie możliwie szerokie i wesołe. Nie mogę jej odmówić mego podziwu. Chodzę często na cmentarz, częściej jeszcze do pracowni Lavinii, którą urządziłem na własny użytek. Sypiam na szezlongu, na którym wydała ostatnie tchnienie; bo nie chciała położyć się do łóżka, pracowała do śmierci. Dzisiaj natchnęło mnie coś, żeby zbadać ten szezlong. Znalazłem w nim kartkę zapisaną jej ręką.

„Boże wielki, ulituj się nade mną z powodu mojej wielkiej miłości! Nie chciałam upokorzyć jego dumnego serca! Wspomnienie błędu nie powinno było go upokarzać i dla tego opuściłam go. Mój Boże! ulituj się i pozwól mi wejść do Twego raju; przeszłam na ziemi przez czyściec i piekło i jestem taka znużona! Gdy przyjdzie po mnie, zastanie mnie umarłą. Nie będzie więc winnym i będzie mógł myśleć o mnie bez wyrzutów, bez przekleństwa na ustach. Mój Boże, bodajby się to prędko skończyło! Portret jego prawie gotów. Znajdzie go tutaj i przekona się, że nie przestałam do niego należeć duszą i ciałem. Panie! wybaw go od występku i od wyrzutów, daj mu spokój!“

Zdawało mi się, że czuję przy sobie skrzydła anioła, rękę czystą, która mnie prowadzi przez noc ciemną ku wiecznemu spokojowi. Pocałowałem kartkę; ukląkłem przed jej łożem śmiertelnem; oparłem o nie czoło, wzywałem je szeptem i dziękowałem jej z głębi duszy. Skonała bez buntu i bez goryczy; pod wpływem miłości niebezpieczna syrena stała się aniołem pokoju.

4 stycznia.

Nora wzięła mi abonament do konserwatoryum.

— Idź sam. Zepsułabym ci przyjemność; jestem tak mało muzykalną.

Muzyka pochłania mnie, przenika do głębi moje serce zasmucone i unosi na wyżyny, na które porywać może tylko sztuka i miłość.

Żyjemy z Norą w spokoju; nigdy cierpkiego słowa; ani burz, ani czułości! Życie nasze nie jest zatem kłamstwem i czujemy oboje, iż jesteśmy wolni.

(Dokończenie nastąpi).

Zarząd Kasy chorych na podstawie uchwały z dnia 24go bm. oświadcza że insynuacye te żadnej nie mają podstawy, i że ś.p. Gadziński żadnej Kasie szkody nie wyrządził, ani defraudacyi nie popełnił. Przyczyna samobójstwa nie jest pozytywnie wiadomą i najprawdopodobniej rozstrój umysłowy, który u zmarłego w ostatnich czasach się objawił, wpłynął na zniechęcenie do życia. Ś. p. Gadziński był przeszło 3 lata inkasentem w Kasie chorych zawsze [illegible] sobie na krzywdzące pogłoski.

Poszukiwanie spadkobierców. Dnia 30 czerwca rb. w Hołosku Wielkiem zmarł Michał Antoni [illegible] bez rozporządzenia ostatniej woli. Ponieważ [illegible] nie zna spadkobierców zmarłego, przeto sąd powiatowy miejski delegowany S. I, dekretem z dnia [illegible] bm. do l. 69.163 ustanowił dla nich kuratorem [illegible] Sozonia, adwokata krajowego we Lwowie przy [illegible] Brajerowskiej l. 12, do którego zechcą się zgłosić [illegible] rozeszczę sobie prawo do tego spadku.

Z naszej strony dodać musimy, że wedle ustawy cywilnej prawo do spadku mają jeszcze krewni pochodzący od wspólnego pra-pra-pradziadostwa.

W Antwerpii zawiązuje się dla zamieszkałych tam Polaków czytelnia polska. Krzątą się około jej utworzenia p. Henryk Hochstim, technik w szlifierni diamentów.

Odczyty. P. Zenon Przesmycki, pisujący pod pseudonimem Miriama, wystąpi we Lwowie w połowie grudnia z szeregiem odczytów o współczesnej literaturze europejskiej.

Zniżone karty kolejowe dla uczniów. Radzcy [illegible] Wiedeń Götz i Bachofen von Echt wręczyli w tych dniach p. Bilińskiemu petycyę, aby [illegible] udzielano zniżonych biletów jazdy na wszystkich kolejach państwowych monarchii. Prezydent [illegible] Biliński przyrzekł zadość uczynić petycyi.

Ofiara oszustwa. Pisma lwowskie doniosły [illegible], że twórca „Polonii" p. Jan Styka, został [illegible] członkiem paryskiej „Academie artistique, scientifique et litteraire", i że otrzymał złoty medal [illegible] p. Styka padł [illegible] oszustwa. Medal wprawdzie otrzymał, z tą [illegible] różnicą, że medal ten nie jest złoty, tylko z jakiegoś innego, bezwartościowego metalu, a oprócz [illegible] otrzymał go nie od „Académie artist. scientifique et litteraire", bo taka instytucya wcale nie istnieje, tylko od bandy rzezimieszków, którym musiał za medal opłacić się sporą liczbą franków. Siedziba tych nowych spekulantów na łatwowierność i ambicyę artystów i literatów jest w Paryżu i Brukseli. Ztamtąd to uszczęśliwiają oni za opłatą [illegible] osobistości. Oprócz p. Styki padło podobno i kilku innych malarzy naszych w Krakowie i Warszawie ofiarą tego szalbierstwa.

Z głodu. Leon Fessler, jeden z najbardziej utalentowanych rzeźbiarzy węgierskich, twórca pomnikowej studni na placu Kalwina w Budapeszcie [illegible] umarł z głodu [illegible] Fessler [illegible] chorowity i nędzny [illegible]. Znaleziono go nieżywego w [illegible] mieszkaniu.

„Generał" Przybylski, jak donoszą nam ze szpitala, żyje. [illegible] Na karcie wpisowej przy wstępowaniu do szpitala zapisał się Przybylski jako *Général-linguiste*.

Prośba o lekcye. Od pewnej wybitnej osoby otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie: Dnia 20. b. m. zmarła we Lwowie przy ulicy Akademickiej l. 21 Joanna Blackert wdowa po profesorze niemieckiego gimnazyum. Ś.p. Blackertowa utrzymywała się ze skromnej pensyi lecz długoletnia i ciężka choroba [illegible] córka Anna znachodzi się w najstraszliwszem położeniu, gdzie bez żadnego zaopatrzenia, sama jedna jak palec, gdyż Blackertowie przed laty kilkunastu przybyli z Niemiec i nie posiadają tu krewnych.

Anna Blackertówna władająca znakomicie językiem niemieckim i francuskim i przed chorobą matki zajmowała się udzielaniem lekcyi tych języków, lecz ciężka słabość matki zmusiła ją do zaprzestania lekcyi. Obecnie Anna Blackertówna po ciężkiej stracie, znachodzi się sama jedna bez znajomych, przyjaciół i krewnych w położeniu [illegible] jedynym [illegible] lekcyę. Sądzimy, że obowiązkiem społeczeństwa jest [illegible] do jałmużny, lecz o dostarczenie pracy, do żądania której każda jednostka ma moralne prawo.

Chustki do nosa, przeznaczone specyalnie dla [illegible], zjawiły się w magazynach londyńskich. Paczka zawierająca 100 takich chustek kosztuje 3 szylingi. Robione są one z miękkiego papieru japońskiego, nasyconego substancyą dezinfekcyjną i po użyciu bywają palone.

Pożar. Dnia 10 bm. wybuchł pożar w Chlewczanach, w powiecie rawskim, i zniszczył doszczętnie pięć zagród włościańskich ze wszystkiemi nagromadzonemi w nich zbiorami i narzędziami gospodarczemi. Ogień był podłożony. Podejrzanego o podpalenie Iwana Tykierka aresztowano i oddano w ręce sprawiedliwości.

Arton w Krakowie. Znany z procesu panamskiego w Paryżu, Żyd Arton, którego policya francuska od dawna poszukuje, ma — jak twierdzą dzienniki wiedeńskie — przebywać w Krakowie i ukrywać się między żydami na Kazimierzu.

Zmarli. Jan Bartkowski, oficer wojsk polskich z roku 1831, były naczelnik [illegible] prezy[illegible] [illegible] polskiej emigracyi, umarł w Paryżu. — Izabela z Brennerów Szybalska, obywatelka ziemska, wdowa po ś. p. Felicyanie Szybalskim, umarła w Morawicy, przeżywszy 60 lat. — Adam Petrizec, podpułkownik artyleryi, umarł we Lwowie.

Stan powietrza. Term. — 1° o godz. 8 rano, w poł. + 3° R. Bar. 771. Dziś w górę. Pogoda.

Humor amerykański.

Przestrogi dla przechodniów:

— Nie patrz na lewo, gdy idziesz na prawo.

— Nie noś parasola tak, aby zagrażał oczom twoich bliźnich.

— Nie przechodź przez środek ulicy w tej nadziei, że nadchodzący tramwaj skręci z szyn dla twojej przyjemności. Dziwne to może prawo, ale on ma pierwszeństwo.

— Nie posądzaj nikogo, gdy stąpniesz przez nieostrożność na śliski kamień i stłuczesz sobie najdelikatniejszą część ciała.

— Nie próbuj chodzić po [illegible] odrazu, gdyś się uraczył na imieninach babki. Pamiętaj, że inni przechodnie mają to samo prawo, powinieneś więc je uszanować.

— Nie właź w oczy policyanta, chyba, że możesz udowodnić swoje *alibi*.

— Najlepiej zaś nie chodź po ulicy wcale, jeżeli nie masz za co kupić sobie bilet tramwajowy.

(*Washington News*)

Do dzisiejszego numeru załączamy dla p. prenumeratorów na prowincyi — z wyjątkiem miasta Krakowa — katalog na rok 1894 księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

Literatura i Sztuka.

* **Dwa bieguny**, powieść przez Elizę Orzeszkową. (Warszawa 1893).

Eliza Orzeszkowa należy u nas do głównych przedstawicielek kierunku, znanego pod nazwą pozytywnego. Nikt nie wcielił tak wszechstronnie grupy pojęć i zasad, objętej wspólnym tytułem „postępowych", jak ona. Zrazu przez długie lata, jednostronna i płytka, jako myślicielka, a jako artystka nieudolna, rosła autorka „Meira Ezofowicza" i rozszerzała się w miarę, jak „brała w siebie świat, życie". Powoli rozsuwały się ramy jej marzeń i wierzeń, ogarniając coraz dalsze koło spraw i wyobrażeń ludzkich. Orzeszkowa jest jedyną autorką polską, która szła ciągle w górę, rozwijając się systematycznie. Wszystkie inne obracają się w ciasnem kołeczku — tych samych zawsze typów i obserwacyi. Zmieniają się u nich nazwiska, sytuacye, ale właściwa treść sztuki nie ulega żadnemu przekształceniu.

Umysł tak giętki i wrażliwy, jak Orzeszkowej, musiał rychło zrozumieć, że mieszczański rozum nie może nawet dla filistra na całe wystarczyć życie. Bo prawdą jest w istocie, że człowiek nie samym tylko chlebem żyje. Otacza go zewsząd, oprócz zrzędzeń rozumu, świat uczuć i potrzeb duchowych, świat „widm", zarówno niezbędny, jak pierwszy.

Z chwilą, gdy Orzeszkowa, opętana zrazu przez „trzeźwość", zrozumiała („Widma"), że psycholog powinien całego ogarniać człowieka, zaczyna się pełny rozkwit jej talentu. Rozkwit ten trwa dotąd.

Ostatnia powieść Orzeszkowej p. t. „Dwa bieguny" należy do rodzaju psychologicznych, więc omyliłby się, ktoby w niej szukał bogatej bajki, ciekawej intrygi, zajmujących sytuacyi i t. p. podwalin powieści wypadków. W „Dwóch biegunach" występują właściwie tylko dwie osoby, pan Zdzisław Gronowski i panna Seweryna Zdrojowska, reszta bowiem, sylwetki, szkicowane odręcznie, niepotrzebne do akcyi, odgrywają tylko rolę dodatków wypełniających całość.

On, pan Gronowski, człowiek dobrego towarzystwa, zamożny, wykształcony, wytwornie wychowany, jest przeciętnym paniczem, który uczył się zawiele, aby mógł stracić majątek na ordynarne hulanki, a widział zawiele, aby nie smakował w wykwintnem życiu nowoczesnej cywilizacyi.

Ona, panna Zdrojowska, równie zamożna, niezależna, młoda i wykształcona, ale chowana na głuchej, dalekiej prowincyi wpośród ludzi prostych i lasów, nie lubi „wielkiego świata", którego uciech nie zna i nie pożąda.

Jest jeszcze jedna różnica między nimi.

On, umysł, aczkolwiek oświecony ale pospolity, bez skrzydeł sokolich, bez szerszych horyzontów, wyzyskuje życie dla siebie. Trochę sceptyk, jak całe pokolenie, wykarmione zasadami pozytywizmu i ewolucyonizmu, nie wierzy w celowość pracy i ofiary.

Ona, entuzyastka z temperamentu, a z charakteru konsekwentna w postępowaniu, obmyśliła sobie jakiś ideał życia, składającego się z poświęceń dla drugich.

Takie dwie natury, rozdzielone całym światem odmiennych pojęć i przekonań, sprowadza Orzeszkowa na jednem miejscu i każe im się w sobie rozkochać. Powieść jej jest psychologią miłości wzajemnej pana Gronowskiego i panny Zdrojowskiej.

Zwykle bywa w powieściach, a najczęściej w życiu, miłość taką mocarką, że pokonywa różnicę poglądów i celów. Amor usuwa na stronę filozofię, sztukę, światopoglądy wszelakie i każe dostrzegać tylko wdzięki, słyszeć bicie serca, czuć war wzburzonej krwi. Wiadomo, że się często łączą z sobą ludzie, między którymi nie ma właściwie nic wspólnego oprócz wzajemnego pociągu umysłowego.

Nie tak panna Zdrojowska. Ona, aczkolwiek kocha rzeczywiście pana Gronowskiego, odtrąca jego miłość świadomie, z rozmysłem, gdyż przekonała się, że wytworny panicz nie zgodzi się nigdy na cele jej życia.

Kobieta, wyrzekająca się miłości, dla której się urodziła, zasługuje na tytuł bohaterki w stylu romantycznym. Chyba nie wiele takich „fantastek" między białogłowami. Jest to charakter duży, niezwykły, nie przypominający ani jednym rysem dawniejszych postaci niewieścich Orzeszkowej.

Więc wracają „stare upiory"...

Jako powieść, nie należą „Dwa bieguny" do rodzaju „zajmujących". Mają one wartość tylko jako dokument w historyi rozwoju talentu zasłużonej autorki. Dwie barwniejsze sceny (pierwsza w salonie pani Idalii; druga w majątku panny Zdrojowskiej: pożegnanie kochanków), to trochę zamało nawet na powieść psychologiczną, wlokącą się przez 389 stronic. Dlaczego potrzebują panie zawsze tylu słów do wypowiedzenia rzeczy najprostszych. Okropnie dużo „gadają" nasze belletrystki. Jedyna Ostoja umie się wyrażać treściwie, ale za to znów za treściwie.

Rzecz szczególna, wprost zdumiewająca, że autorka takiej miary i takiej przeszłości, jak Orzeszkowa, nie urodziła się z własnym stylem. Każdego z pisarzy utalentowanych można poznać po kilku zdaniach, nawet wtedy, gdy się nie podcyfrują a Orzeszkowej nie podobna się domyśleć bez jej podpisu. Jej styl nie ma fizyognomii, nie jest oryginalny. Ciężki, lubujący się w długich, mozolnie skleconych okresach, pospolity, pozbawiony wytworności i subtelności, nagina się chyba z wielkim trudem do dzieł artystycznych. Rozbićby trzeba okresy Orzeszkowej na drobniejsze części, aby celowi swojemu odpowiadały. *Teodor Jeske-Choiński.*

* **Nowe nuty**. Nakładem ruchliwej księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza we Lwowie wyszły w tych dniach „Polonez i Gawot" dwa utwory fortepianowe, zaszczytnie znanego muzyka i kompozytora prof. Mieczysława Sołtysa. Z powodu, że p. Sołtys jest naszym krytykiem muzycznym i kolegą redakcyjnym nie wypowiadamy o utworach tych naszego zdania, aby nas nie posądzono o stronniczość, natomiast poniżej przytaczamy to, co o utworach tych napisał znany we Lwowie krytyk muzyczny p. Stanisław Meliński: „Mieczysław Sołtys — pisze p. Meliński — to muzyk poważny, sumienny i pracowity, kształcony na wzorach pierwszorzędnych. W kompozycyi Sołtys bynajmniej nowicyuszem nie jest. Pisał i wydał drukiem już wiele, jeszcze za bytności u Saint Saensa w Paryżu. Wydany obecnie zeszyt zawierający Polonez i Gawot, bardzo korzystnie wyróżnia się od poprzednich utworów tego muzyka. Obok poprawnej i nieskazitelnej formy, przebija się tu szlachetna intuicya kompozytora. W szczególności Gawot, to prześliczna pieśń bez słów, która im częściej się jej słucha, tem bardziej się podoba. Kompozycyę tę polecić możemy szczerze pianistom".

Rozmaitości.

— **Jak znaleść męża?** W jednym z wielkich salonów pewnego wielkiego miasta zebrało się liczne grono pięknych, milutkich i szykownych panien, które postanowiło rozstrzygnąć ważną kwestyę społeczną: „Jak znaleść męża?" W barwnym tym żywym bukiecie były blondynki prześliczne, jak marzenie poety; brunetki z gorejącemi oczyma, zapowiadającemi szczęśliwość niebiańską i męczarnie piekielne; główki z warkoczami koloru ognistego i neutralne szatynki, które pozbawiły rozumu niejednego myśliciela, pragnącego rozwiązać zadanie temperamentu kobiecego. Naturalnie, przedmiotem powszechnej rozmowy była miłość.

— Boże miłosierny! — wołały czarodziejki — jak w naszych czasach znaleść męża?.. Może pan nam powie.

Pytanie to wprawiło mnie w wielki kłopot, zadanie to bowiem niełatwe.

Dawniej mężczyzna w osobie żony szukał dla siebie wiernej przyjaciółki, troskliwej matki dla dzieci i dobrej gospodyni. A teraz? Teraz wszystko się zmieniło. Obyczaje i potrzeby, wytworzone przez życie spółczesne, z każdym dniem ulegają zmianie i wzrastają jak uzbrojenia państw europejskich. I jak trudno przewidzieć końca tych zbrojeń, tak samo niepodobna zawyrokować, na czem się skończą nasze zachcianki. Ludzkość podzieliła się na dwa obozy nieprzyjacielskie, toczące z sobą walkę zaciętą, przy czem oczywiście płeć silniejsza bierze przewagę nad słabszą. Kawalerowie zapatrują się na małżeństwo jak na układ wygodny, za pomocą którego pragną poprawić swoje interesa, nadwerężone życiem kawalerskiem. Z tego powodu obecnie w sprawie małżeństwa najważniejszą rzecz stanowi posag narzeczonej. Jeżeli posiada pieniądze, wówczas odnosi zwycięstwo, staje się panią, zyskuje męża; jeżeli ich nie ma, to musi złożyć broń i na całe życie pozostać panną. A ponieważ panien bez posagu jest o wiele więcej niż z posagiem, więc i zwyciężonych istnieje liczba wielka, która powiększając się z każdym rokiem z szybkością niezmierną, grozi zwycięzcom swą konkurencyą na wszystkich arenach życia, nietylko społecznego, ale i państwowego (Ameryka).

Stara panna znajduje się w pozycyi nad wyraz smutnej. Wszyscy nad nią się litują i wszyscy jej unikają, jak zadżumionej. W czasach naszych, ażeby znaleźć męża, nie dość już posiadać rozum, cnotę dobroć, piękność — do wszystkich tych przymiotów potrzeba jeszcze pieniędzy.

Napróżno troskliwi ojcowie i kochające matki szukają mężów dla swoich córek bezposagowych — nigdzie ich nie znajdują, ani na balach, ani w teatrach, ani na spacerach. Praktyka życiowa nauczyła, iż w najpomyślniejszych nawet warunkach z liczby stu panien bezposagowych, zaledwie część dziesiąta znajduje sobie mężów, pozostałe dziewięćdziesiąt z rezygnacyą poddać się muszą losowi. Okazuje się z tego, że ten powszechny wyścig za mężami nic nie wart; należy szukać środków racyonalniejszych.

— Ale jakich? Boże drogi! Mówże pan, jakich? — niecierpliwie zawołały wszystkie naraz brunetki, blondynki i szatynki.

— Przedewszystkiem, panna nie powinna być zbyt wybredną. Najwłaściwszy wiek panny do wyjścia za mąż, jest od 20 do 24go roku życia, i jeżeli w tym czasie zjawia się pretendent przyzwoity, nie należy go odrzucać, chociażby nawet towarzyska jego sytuacya była nie zupełnie jeszcze ugruntowaną. Widzieliśmy nieraz podobne przykłady. Ośmnastoletnia panienka odmawia młodemu 25-letniemu np. adwokatowi, dla tego, że nie ma jeszcze rozgłosu, nie posiada klientów. Ta sama panna, mając lat trzydzieści, a więc po 12 latach, z najwyższą radością wychodzi za mąż za 40-letniego mężczyznę, który zdołał wyrobić sobie niejakie stanowisko społeczne. Tymczasem oto co się zdarza: pretendent pierwszy zdobył karyerę świetną. I w rezultacie panna wybredna zmarnowała najpiękniejszych 12 lat młodości. Mógłbym przytoczyć ogromną liczbę takich wypadków z życia lekarzy, inżynierów, kupców, artystów, nauczycieli, wojskowych itd.

— Ale jakim sposobem zmusić kogo, ażeby pokochał? W tem rzecz! — wołały naiwne panny.

— Jest to kwestya rzeczywiście ważna i należy się nad nią zastanowić głęboko. Każda młoda panna, zanim zmusi kogo do pokochania siebie, zdolna jest zakochać się sama. Otóż w tem spoczywa grunt rzeczy. Młoda osoba pokochać może — wszak to rzecz tak naturalna — ale w objawach uczucia tego nie powinna iść za daleko. Może ona dać do zrozumienia mężczyźnie, że podobał się jej, że z przyjemnością przebywa w jego towarzystwie, ceni, iż ją wyróżnił, ale nadto nic więcej. A już niech Pan Bóg uchowa, by miała mu dawać jakie dotykalne dowody swego uczucia, choćby w najbagatelniejszych objawach, n. p. w ofiarowaniu wstążki na pamiątkę, rękawiczki, no, a o pocałunku, to nie ma co nawet mówić. To najfatalniejsze ze wszystkiego, wprost nieszczęście! Mężczyźni są po większej części bardzo lekkomyślni i próżni, zwłaszcza w stosunkach miłosnych. Mężczyzna, który od kochającej go panny otrzymał dotykalny dowód jej uczucia, jest już w połowie zaspokojony, a właśnie tego być nie powinno.

— Jednakże stosunek taki może mężczyźnie dokuczyć — odparły panny.

— Niech panie będą o to spokojne. Zakochany mężczyzna nie odczepi się tak prędko, jak wam się zdaje, tem bardziej, jeśli wierzy we wzajemność. Ta kokieterya niewinna, a raczej powściągliwość ze strony panny doprowadzi zawsze do rezultatów najpomyślniejszych i romans skończy się ślubem.

Głosy publiczności.

„Szkoła ludowa". Do Koła Pań Tow. Szkoły ludowej nadchodzą w tym roku nieszczęść i klęsk elementarnych, liczniej jak zwykle prośby od kierowników i kierowniczek szkółek wiejskich o pomoc dla biednej dziatwy, której rodzice nie są w stanie sprawić cieplejszej odzieży na zimę. Fundusze Towarzystwa są jednak za szczupłe, by zaradzić choćby tylko najbardziej piekącym potrzebom, przeto Zarząd zwraca się do ofiarnego ogółu z gorącą prośbą o nadsyłanie darów czy to w gotówce, czy też w materyach lub gotowych ubiorkach — a osobliwie w obuwiu.

Wszak w każdym niemal zamożniejszym domu poniewiera się dość starych, przenoszonych sukień, które w najlepszym razie bywają za bezcen sprzedawane, o tę więc starzyznę kołaczemy do serc matek rodzin, by zechciały zrobić tę maleńką ofiarę, a tem samem przyczynić się do okrycia zziębłego maleństwa. Gdyby wszystkie kobiety polskie zadały sobie odrobinę trudu w odsyłaniu na ten cel zbędnej, starej odzieży, zapobiegłoby się setkom chorób z przeziębienia, zapobiegłoby się nadmiernej śmiertelności dziatwy wiejskiej, zmniejszeniu się frekwencyi szkolnej w zimowej porze i karom, nakładanym na biednych włościan, za niewypełnianie ustawy o szkolnym przymusie. Łaskawe datki przyjmuje się z wdzięcznością codziennie od pół do 5-tej do w pół do 6-tej wieczorem, w lokalu Tow. ul. Batorego l. 30 I piętro.

Zarazem składamy serdeczne podziękowanie dotychczasowym ofiarodawcom. Mianowicie złożyli p. p. Stanisław Pepłowski z puszki na przybory szkolne 5 złr. 60 ct., Wolski Wacław ze Schodnicy 13 złr. 50 ct., Ernest Leon Lilien 10 złr., Kazimierz Pepłowski z puszki na przybory szkolne 8 złr. 76 ct., Z puszki w cukierni p. Kosteckiego 5 złr., z Administracyi *Kuryera lwowskiego* 37 złr. 14 ct., Towarzystwo Wzajemnego kredytu we Lwowie 20 złr., Z puszki w cukierni p. Kosteckiego 4 złr., Z Administracyi *Kuryera lwowskiego* 18 złr., Wilczyński Albert zebrane do puszki w „Kole literackiem" 2 złr. 69 ct., Kazimierz Pepłowski z puszki na przybory szkolne 5 zł., Helena Marcello 40 złr., Piotr Brzozowski zebrane na wieczorku u p. Tancera w Majdanie 8 złr., Wacław Wolski zebrane przy bufecie na wycieczce do Kropiwnika z inicyatywy p. Hrubego 12 złr., Wacław Wolski z przedstawienia magicznego p. B. W. 15 złr., Jadwiga Zeitlebenowa ze Schodnicy od p... za niestawienie się na wycieczkę 5 złr., Albert Wilczyński z puszki w „Kole literackiem" 2 złr. 50 ct., Alojzy Walter w Tłómaczu dyrektor cukrowni w Tłumaczu zł żone na jego ręce 15 złr., Katyll Szymon złożone do puszki przez urzędników oddziału technicznego Wydziału krajowego 3 złr. 36 ct., Zebrane przy zabawie u pp. Pawlikowskich w Bereźnicy 4 złr. 50 ct., Zebrane w domu pp. Padlewskich w Perepelnikach 18 złr. 50 ct., Wacław Wolski, zebrane przy zabawie towarzyskiej w Schodnicy 13 złr. 50 ct., Zenon Szymański z puszki w Szpitalu powszechnym 7 złr. 82 ct., Albert Wilczyński z puszki w „Kole literackiem" 2 złr. 15 ct., Szymon Katyll z puszki Oddziału technicznego w Wydziale krajowym 3 złr. 50 ct., Z Redakcyi *„Młodego wieku"* 4 złr., Reszta z wieńca od kolegów i towarzyszów dla ś. p. Wacława Ibiańskiego 6 złr. 60 ct. Składka z komersu słuchaczy wyższej szkoły rolniczej w Dublanach 15 złr.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 28 listopada. Na wczorajszem posiedzeniu komisyi podatkowej oświadczył minister finansów Plener, że nowy rząd przekonany jest o konieczności przeprowadzenia dzieła reformy podatków i dla tego prosi komisyę, aby dalej pracowała nad tem żmudnem dziełem poprzedniego rządu. Przedewszystkiem poleca do ukończenia najważniejszą część całej reformy, a mianowicie rozdział o podatku osobisto-dochodowym. Byłoby dobrze, gdyby komisya tę część załatwiła jeszcze przed Bożem Narodzeniem, a za ponownem zebraniem się Rady państwa, co nastąpi prawdopodobnie w lutym, przedłoży p. Plener niektóre propozycye co do podatku zarobkowego.

Berlin 28 listopada. W parlamencie niemieckim odpierał wczoraj minister wojny stanowczo zarzuty, podnoszone przeciw oficerom z powodu przeprowadzonego niedawno w Hanowerze procesu przeciw szajce szulerów i lichwiarzy.

Następnie minister finansów Miquel usprawiedliwiał się z zarzutu zrobionego mu przez Bebla na ostatnim kongresie socyalistycznym w Kolonii. Bebel zarzucił wtedy ministrowi brak stałych zasad, a na dowód tego odczytał jakiś list pisany kiedyś wrzekomo przez Miquela, w którym to liście dzisiejszy minister finansów przyznaje się do zasad socyalistycznych i rewolucyjnych.

Miquel przyznał, że rzeczywiście pisał ten list, ale był wtedy jeszcze niedojrzałym młodzieńcem i wnet sam poznał, jak fałszywe są jego poglądy, zawarte w tym liście.

Dziś odbędzie się ciąg dalszy debaty nad budżetem.

Paryż 28 listopada. Izba deputowanych na wczorajszem posiedzeniu uznała ważność dokonanych wyborów i odroczyła się do jutra.

Bukareszt 28 listopada. Król Karol zagaił wczoraj sesyę parlamentu w obecności następcy tronu i całego ciała dyplomatycznego. W mowie tronowej wspomina król o narodzinach syna następcy tronu, który to wypadek ścieśnia węzły sympatyi łączące dynastyę z narodem i zabezpiecza przyszłość kraju. Wszystkie mocarstwa przy każdej sposobności oświadczają, że mają niezłomną wolę utrzymania pokoju, niezbędnego dla całego świata. Te uroczyste oświadczenia pozwalają Rumunii pracować nad swym dalszym rozwojem. W dalszym ciągu wspomina król o pomyślnej sytuacyi finansowej kraju, którego kredyt jest zapewniony i zapowiada, że budżet na r. 1894/95 będzie wykazywał równowagę dochodów i wydatków. Dalej zapowiada mowa tronowa wniesienie niektórych reform, między innemi projektu reformy wyższych zakładów naukowych, wreszcie wspomina o konwencyi handlowej zawartej z Niemcami, która zapewniła rumuńskim produktom rolniczym szerokie pole zbytu.

Malaga 28 listopada. Marszałek Martinez Campos odpłynął do Melilli. Dziś odchodzi tam 3.000 żołnierzy.

Londyn 28 listopada. W Montrealu i okolicy dało się czuć wczoraj silne trzęsienie ziemi. Mieszkańcy natychmiast uciekli z domów. Z ludzi nikt nie poniósł szwanku. Znaczne szkody wyrządziło trzęsienie ziemi w budynkach.

Berlin 28 listopada. Parlament niemiecki rozpoczął wczoraj debatę budżetową. Sekretarz stanu Posadowski-Wehner zestawił w krótkości znane już cyfry preliminarza i wykazał, że nadwyżka dochodów bieżącego roku budżetowego wyniesie prawdopodobnie około $1\frac{1}{2}$ miliona marek, z której to sumy proponuje rząd użyć pół miliona na inwestycye w koloniach niemieckich. Podatek od cukru, soli, piwa, tudzież poczty, telegrafy i koleje żelazne dały dochód większy, aniżeli preliminowane, z drugiej strony jednak zwiększyły się wydatki na wojsko o $10\frac{3}{4}$ miliona, a wydatki na marynarkę o $\frac{3}{4}$ miliona. W każdym więc razie potrzebuje państwo nowych źródeł dochodu.

Wiedeń 28 listopada. Ci posłowie słoweńscy, którzy wystąpili z klubu Hohenwarta, ogłosili komunikat, w którym oświadczają, że uczynili to dla tego, iż lewica przyszła do steru i że w gabinecie koalicyjnym nie ma ani jednego reprezentanta 10 milionów Słowian zamieszkujących Austryę. Nadto zapowiadają Słoweńcy, iż trzymać się będą polityki wolnej ręki.

Petersburg 28 listopada. Wedle sprawozdań kas państwowych za czas od 1 stycznia do 1 sierpnia 1893, wynosiły dochody państwowe w tym okresie ogółem $672\frac{1}{2}$ milionów rubli, podczas gdy w tym samym okresie roku przeszłego wynosiły one 707 milionów. Wydatki wynosiły od 1 stycznia do 1 sierpnia b. r. ogółem 617 milionów, w roku przeszłym zaś wynosiły w tym samym okresie 645 mil.

Rzym 28 listopada. W sferach parlamentarnych mówią, że król powierzy Zanardelliemu misyę utworzenia nowego gabinetu.

Wiedeń 28. listopada. Na dzisiejszem posiedzeniu izby posłów wniósł rząd projekt ustawy, upoważniający go do sprzedaży nieruchomości będących obecnie w używaniu wojska w maxymalnej wartości 500.000 złr. tudzież do sprzedaży koszar piechoty w Rudolfswert i magazynu prowiantowego w Villach.

Przyjechali do Lwowa

dnia 28 listopada 1893.

HOTEL ŻORZA. St. Homolacs z Krakowa. Hr. A. Starzeński z Dąbrówki. D. Pogłodowski ze Sudkowic. A. Aulich z Lackiego. J. Schally z Myślenic. A. Schally z Wadowic. Z. Skrzyński z Nartowa. S. Neumann z Pesztu. M. Juretzk z Berlina. J. Kugel z Wiednia. W. Maurel i M. Mortier z Paryża.

HOTEL FRANCUSKI. W. Kraiński z Perespy. K. Bastgen z Romanowa. M. Skarzyńska z Łotatnik. H. Weischtiala i B. Kohn z Wiednia. F. Menschel z Bukowiny. N. Stein z Wiednia. A. Protte z Paryża.

HOTEL VICTORIA. Dr. R. Flessa i G. Bing z Wiednia. T. Gabriel z Bośnii. K. Königsberger z Wiednia. J. Dwernicka ze Stanisławowa. A. Kobylańska z Bolechowa. E. Hippert z Wiednia. K. Wockan z Kołomyi. J. Rechen z Czerniowiec.

HOTEL IMPERIAL. J. hr Komorowski z Bilinka. S. hr. Rey z Chodorowa. C. Kielkiewicz z Podwołoczysk. A. Szymberski z Potoka. A. Jakubowski z Zaleszczyk. E Horodyska z Podola. J. Gołębski ze Sławentyna. M Bohusiewicz z Banila. H Pollak z Wiednia. L. Manheimer z Losones.

HOTEL METROPOL. K. Morawski z Żółkwi. J. Książkiewicz z Warszawy. A. Banach z Zaleszczyk. K. Ilnek z Brzeżan. M Maciejkiewicz z Tarnowa. S. Müller ze Słobudki. D. Zaleski ze Słobody. N. Bodenbach z Budapesztu. E. Krasiński z Warszawy. O. Satkowzki z Jabłonowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 28 listopada. (Z izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. a. 260·— do 263·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 378·— do 388·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·70 do 101·40, 5% z 10% prem. 109·70 do 110·40, $4\frac{1}{2}$% los. w 50 lat. 99·80 do 100·50. Banku krajowego $4\frac{1}{2}$% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·30 do 99·—. 4% los. w $41\frac{1}{2}$ lat. 98.— do 98·70, 4% los. w 56 latach 98·— do 98·70. $4\frac{1}{2}$% los. w 52 lat. 99·80 do 100.50.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·40 do 97·10. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·25 do —·—. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·25 do —·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, $4\frac{1}{2}$% 99·80 do 100·50 4% z roku 1891 95·80 do 96·50 4% z roku 1893 96·— do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·92 do 6·02. Napoleondor 9·92 do 10·02. Półimperyał 10·20 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30·25 do 1.32·25. 100 marek niemieckich 61·30 do 62·—.

Wiedeń dnia 28 listop. (godz. 12 w połudn.) Kredyty 342.85, kred. węgierskie 418.25, Anglob. 154.—, Uniony 255.75, Bankvereiny 123·25, Länderbanki 251.10, Akcye tytoniowe 201.—, Staatsbahny 307.25, Lombardy 104.75, Elbethale 238.50 Renta papierowa 97.40, Renta węg. 4% kor. 94.12 Renta węg. złota 4% 115.75, Alpiny —.—, Marki 61.30, Losy tur. 49.90.

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

Odchodzą do	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·01	**10·41**	**5·26**	11·11	**7·36**
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	**11·11**	—
Podw. Podza.	6·54	3·32	10·40	**11·33**	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	3·31	**10·56**
Stryja	—	—	7·21	10·26	3·41
Bełzca	—	—	9·56	**7·21**	—
Przychodzą z					
Krakowa	3·06	6·01	**6·36**	**9·41**	9·35
Podwołoczysk	2·48	**10·02**	**6·21**	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	**9·46**	9·21	5·55	—
Czerniowiec	**10·10**	—	**7·11**	7·59	12·51
Stryja	—	—	**1·08**	9·06	**9·52**
Bełzca	—	—	6·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

28)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ
przez
JULJUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

— Jest on ubogim zarówno jak i my, lecz człowiekiem uczciwym i dumnym. Nie przyjąłby on bytu, na który nie zapracowałby sam. Uważałby to za jałmużnę.

Napróżno Filip używał wszelkich argumentów. Nie zdołał zmienić ich przekonania i odjechał zrozpaczony.

Myślał o sprawionym ojcu zawodzie, o tem marzeniu całego jego życia, które nagle stało się niemożliwem do urzeczywistnienia. Ale do jego smutku, wywołanego odmową, łączyło się jeszcze inne cierpienie.

Jedna z dwóch sióstr, Klara, sprawiła na nim wrażenie głębokie. Czyż nigdy już jej nie zobaczy?

— Nie, nie! to rzecz niemożliwa — mówił sobie.

Jakieś przeczucie szeptało mu, że wypadek usłuży mu lepiej, aniżeli wszelkie jego rozumowania.

I pozostał w Zicavo.

Zawiadomił ojca o swych usiłowaniach i odmowie sióstr. Bartoli odpisał mu:

„Pozostań i nie trać odwagi".

W kilka dni po powrocie wypadła jakaś uroczystość w Zicavo i Filip od samego rana słyszał przechodzące pod swemi oknami ze śpiewami i grą na fletach grupy przybyłych z gór młodych ludzi.

Mieszkańcy wioski byli bardzo ożywieni, tańczono wokoło fontanny. W końcu wioski za kościołem wieśniacy urządzili zabawę strzelniczą. O sto metrów, na jednej z gałęzi olbrzymiego uschniętego kasztana, zawieszona była tykwa wysuszona.

Drzewo to posiadało swoją historyę: opowiadano, że było już wielkiem za czasów bohaterów korsykańskich, którzy padli w obronie wyspy przeciw Genueńczykom. Szlachetna ich krew użyźniła ziemię i wpłynęła na niezmiernie szybki rozrost drzewa. Dalej legenda opowiada, że wokoło kasztana tego stoczonych było wiele potyczek i że jego cień opiekuńczy zasłaniał z kolei uciśnionych i zdobywców. Powoli, drzewo, widząc uspokojoną i szczęśliwą Korsykę, uschło, ale długi czas kilka gałęzi żyło, pokrywając się każdej wiosny zielenią. Nareszcie zamarło całkowicie.

Młodzi włościanie z odległości stu metrów strzelali do tykwy, starcy zaś z powagą zapisywali strzały. Odległość, jak na strzelby myśliwskie, była wielką, cel zaś mały i trudny do trafienia. Potrzeba było dobrego oka i ręki wprawnej.

Kilka tykw było zadraśniętych, ale ani jedna nie była przebitą na wylot.

Filip machinalnie podszedł do grupy włościan. Wszyscy mieszkańcy znali go, wielu podchodziło i witało serdecznie.

W chwili, gdy Filip wszedł w środek grupy, składającej się z strzelców, zbliżył się również do niej człowiek młody, może dwudziestopięcioletni, o szerokich ramionach, zręczny i silny, o twarzy wyrazistej, energicznej, prawie dzikiej. Miał strzelbę na ramieniu i genueńską czapkę na głowie. Kilku włościan powitało go, inni cofnęli się z wyraźną niechęcią.

Zaproponowano Filipowi wziąć udział w strzelaniu i podano mu strzelby.. On, jako strzelec doświadczony, obejrzał je uważnie, wybrał jedną dłuższą od innych pojedynkę i nabił ją starannie.

Wspominaliśmy już, że Filip celnością swoich strzałów budził podziw Amerykanów na preryach Dalekiego Zachodu. Trafić w tykwę było dla niego zabawką dziecinną. Nałożył piston, zarzucił strzelbę na ramię i oczekiwał kolei.

Kilka strzałów padło chybionych, nareszcie młody wieśniak z genueńską czapeczką na głowie, zajął przeznaczone dla strzelającego miejsce.

Odwrócił się do stojącej za nim grupy i rzekł, śmiejąc się:

— Niezręczni!

Szybkim ruchem uchwycił strzelbę i prawie nie mierząc, wypalił.

Tykwa przebita kulą przez środek, rozbita została na kilka kawałków. Pozostała tylko zawieszona na sznurku szyjka, którą powstały w tej chwili wiatr zaczął poruszać na wszystkie strony.

Zręczność strzelca wywołała pochwały kilku osób. On przez junakieryę zmierzył się znowu do chwiejącej się szyjki i wypalił, lecz chybił. Wtedy nie chcąc kompromitować swego zwycięztwa, zaprzestał prób dalszych.

— To zabawka dziecinna — odezwał się za nim jakiś głos.

Wieśniak obejrzał się i spostrzegł przed sobą uśmiechniętego Filipa. Nagle uczuli obaj, jak gdyby przebiegła pomiędzy nimi iskra elektryczna. Spojrzenia ich skrzyżowały się. Zrozumieli, iż będą sobie nieprzyjaciołmi.

Jakim sposobem to się stało? Filip wypowiadając te słowa, nie miał żadnej myśli ukrytej. Nie był kłótliwym. Chciał zabawić się tylko i znalazłszy się wśród ludzi głośnych ze zręczności w strzelaniu, pragnął pokazać im, że i on był strzelcem dobrym.

We wzroku młodego wieśniaka widniało wyzwanie, prawie zniewaga.

— Spróbój więc pan.

I uczyniwszy znak jednemu ze starców, obowiązanemu przywiązywać cel do kasztana, dodał:

— Piotrze, zawieś nową tykwę i przymocuj ją, by się nie chwiała, gdyż ten pan może chybić...

— Nie potrzeba nowej tykwy — wtrącił Filip z uśmiechem — wystarczy i ta szyjka.

Zmierzył się i wypalił. Połowa szyjki rozleciała się na kawałki.

Zebrani wieśniacy odpowiedzieli na ten strzał hucznymi okrzykami. Ale Filip jak gdyby nie słyszał ich. Nie zwracał na niego uwagi, zajęty powtórnem nabiciem strzelby. Gdy był już gotów, wskazał palcem pozostały, nie większy od chrabąszcza kawałek szyjki i rzekł:

— Pozostał jeszcze kawałek... może pan zechce...

— Dobrze!

Wieśniak zmierzył się i stał czas jakiś nieporuszony jak posąg. Wiatr ustał i szyjka wisiała spokojnie. Padł strzał, ale kula lekko dotknęła tylko celu i poruszyła go.

— Chybiony — zauważył Filip.

— Na pana kolej.

Młody wieśniak był blady, oczy jego tryskały gniewem i ręce drżały nerwowo. Widocznem było, iż powstrzymywał się z trudnością.

Filip zajął jego miejsce i przyłożył strzelbę do twarzy. W tej chwili zaszumiał wiatr i szyjka tykwy zaczęła się kręcić.

— Czekaj pan, czekaj! — zawołało kilka głosów.

— Dla czego!

— Bo w takich warunkach chybisz pan napewno. Niech wiatr uspokoi się...

— Gdy strzelacie do dzika pędzącego jak strzała, to czy czekacie, by zatrzymał się?

Zmierzył się i wypalił. Gdy dym się rozszedł, spostrzeżono tylko mały kawałek sznurka. W około rozległy się krzyki uwielbienia. Otoczono Filipa i winszowano mu.

Filip oddał strzelbę, oddalił się i zapomniał już o tym wypadku, gdy nagle uczuł, że go ktoś lekko uderzył po ramieniu. Obejrzał się i spostrzegł swego przeciwnika w strzelaniu, młodego wieśniaka w czapeczce genueńskiej. Twarz jego była bledszą niż przed chwilą, jakkolwiek usiłował uśmiechać się.

— Mam do pana jedno słowo...

— Służę... o co chodzi?

— Jesteś pan strzelcem bardzo zręcznym.

— Słowa te są dla mnie tem przyjemniejsze, że pochodzą od człowieka, którego zręczność sam podziwiałem przed chwilą.

— Tylko, że przychodzi mi pewna uwaga.

Ton, jakim młody człowiek powiedział te słowa, nie podobał się Filipowi. Czuć w nim było groźbę.

— Mało mnie obchodzą uwagi pańskie — odrzekł i chciał odejść.

Ale wieśniak zatrzymał go.

— Oko pańskie jest pewne, lecz bywają oczy jeszcze pewniejsze. Przyznaję przecież, że jesteś pan strzelcem zręcznym. Ale co innego jest strzelać do chwiejącej się na sznurku tykwy, a co innego do piersi człowieka. Założyłbym się, że chybiłbyś pan.

— Masz pan słuszność. Możemy spróbować.

Kilku wieśniaków, domyśliwszy się o co chodzi, podeszło ku nim. Filip poprosił znowu o strzelbę. Mierzono odległość, gdy wtem nadeszła nowa grupa wieśniaków świątecznie ubranych. Filip spojrzał na nich machinalnie i wydał lekki okrzyk zdziwienia. Pomiędzy przybyłymi poznał dwie młode dziewczyny: Klarę i Dyanę.

Podbiegł ku nim z wyciągniętemi rękami. Ale one spostrzegłszy nagle jego przeciwnika zawołały:

— Antonio! Nasz brat?

— O kim panie mówicie? Który?

Więcej z przestrachem niż z radością wskazały mu młodego wieśniaka.

— On! Do licha! — odrzekł Filip niezadowolniony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.**
Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.
Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.